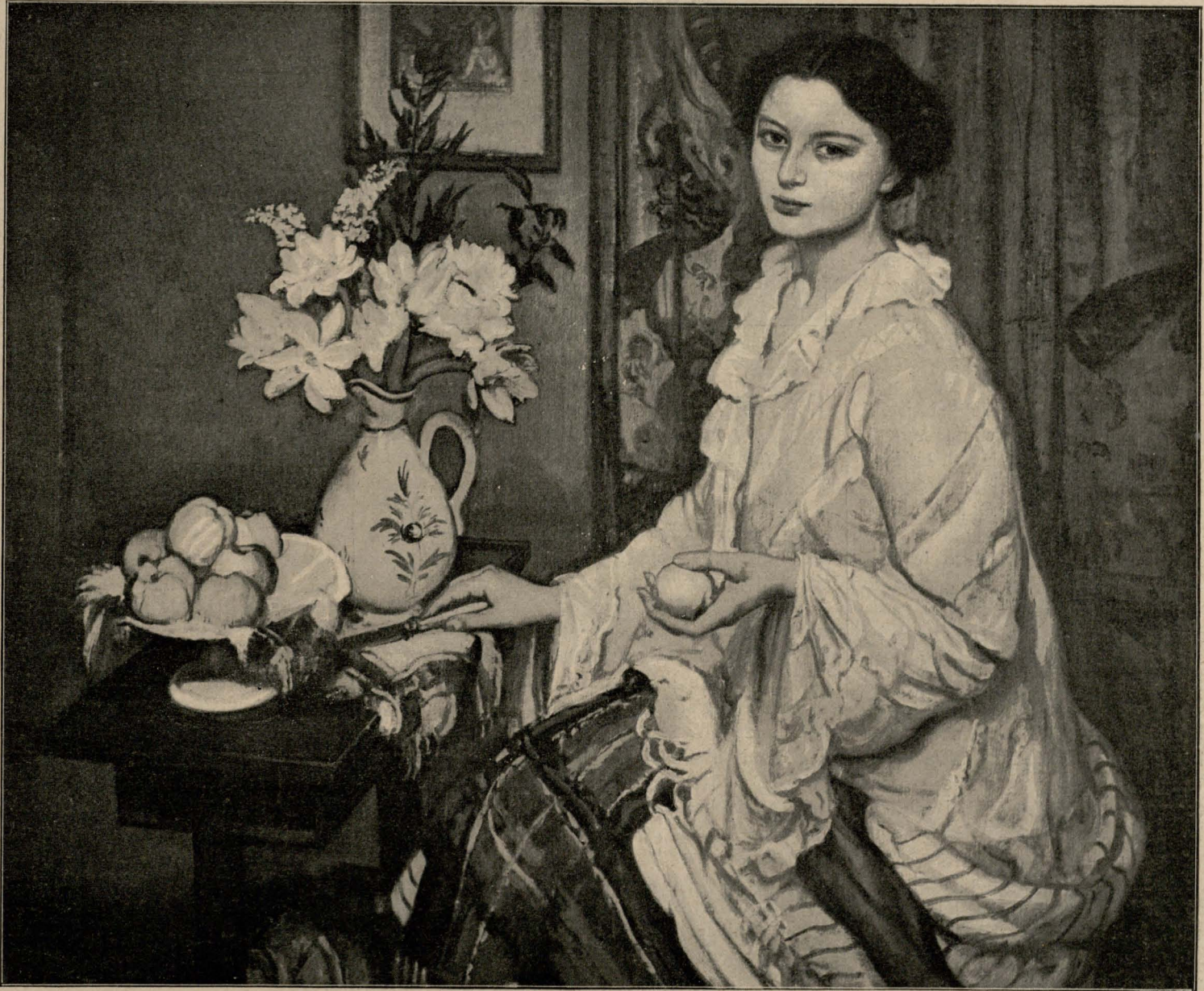


TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET (z Salonu paryskiego „Champ de Mars”)

IGNACY PIĘKOWSKI

WACŁAW SOBIESKI:

NA WAWELU A NA KREMLU.

2)

Z zupełnie innym materiałem miał do czynienia Zygmunt August. Wprawdzie i szlachta polska występuje bardzo krańcowo, i niektórzy nawet wypowiadają mu posłuszeństwo i chcą sobie obierać „innego króla”, a na sejmie podnoszą taki wrzask, że król, chcąc bronić swej pięknej Barbary i swego małżeństwa, musi po kilkakroć wołać: „silentium”. Ale jednak ta szlachta jest inna od owej czerni moskiewskiej. Ona, choć nienawidzi tych Radziwiłłów, skuzynowanych teraz przez Barbarę z królem, to jednak nie morduje ich, jak owa tłuszcza Glińskich. Występuje mniej dziko i daleko oględniej i dostaje też za to inną, gładszą, niż tam, odpowiedź, odpowiedź, którą jej daje król, zdjawszy swej czapki, odpowiedź, w której król tylko ją łagodnie prze-

konywa i tak przemawia do rozumu jej i do serca, że w końcu ją rozbraja.

Różne to były bunty, ale u obu władców wywołały podobne refleksje: obu naprowadziły na przypuszczenie, że jednak poza plecami tych zbuntowanych tłumów muszą być jacyś ukryci podżegacze, których trzeba koniecznie wyśledzić i z nimi się rozprawić. I z jednej strony Iwan poza tą tłuszcza odkrywa spisujących bojarów (Szujskich), którzy, zazdrośni o wpływ na Iwana, podburzyli motłoch uliczny na Glińskich. A tak samo Zygmunt August dostrzegł również rękę takich wielmożów (jak Kmita i Górka), zazdrosnych o wyniesienie Radziwiłłów.

Odtąd też coraz bardziej obaj się w tem przekonaniu umacniają, że właściwymi wroga-

mi tronu są nie te zbuntowane tłumy, ale najwybitniejsi bojarzy i senatorowie, i dlatego też z jednej strony w Moskwie Iwan postawi sobie za zadanie zniszczyć bojarstwo i radę bojarską, gdy Zygmunt August równocześnie zabierze się do podkopania senatu.

I otóż oni właśnie, te same tłumy, które ci oligarchowie i podburzali, i popychali na tron, oni naodwrot zwrócili je przeciw tym samym bojarom i senatorom i obaj wywiesili hasło niby demokracji.

A jednak jakaż różnica! Jak zupełnie inaczej wygląda ta gwardya, którą każdy z tych władców otoczył swój tron, jak inaczej wyglądają ci pomocnicy, których oni użyli do walki z oligarchią i ochrony swego tronu.

Tam, w Moskwie, Iwan zorganizował so-

bie rodzaj policyi, t. zw. opryczników. Iwan wziął od nich przysięgę bezwzględnego posłuszeństwa, umiał wśród gorących modłów i praktyk tchnąć w nich niewolniczy zapach dla idei caratu; z tą to gwardią siepaczy dokonywał strasznych czynów teroru wśród moskiewskiej hierarchii duchownej i świeckiej.

Podczas gdy w Moskwie grasuje ta straszna świta „jakobinów” carskich, to tymczasem Zygmunt August dokonywa dzieła demokracji przy pomocy zupełnie innych ludzi, a mianowicie dokonywa go z posłami sejmowymi i izbą poselską.

Wprawdzie i to grono posłów wiąże się z królem i uderza nadzwyczaj ostro na panów i biskupów. A jednak jak ci trybunowie polscy ludowi odskakują i różnią się od tamtych „piekielników carskich”. Tam, w Moskwie, traktuje car swych siepaczy, jak swych niewolników, gdy tu, w Polsce, oni są prawdziwymi wybrańcami narodu, jego kwiatem, są szczytem myśli narodowej, i nie król im, ale raczej oni królowi swą wolę narzucają. Tam, w Moskwie, car stroi tych swoich opryczników w mundur, wedle swego upodobania i kaprysu, rozkazując na czapraku wyszyć im za godło miotłę i łeb psa na znak ich psiej wierności do tronu. Tu, w Polsce, nie Zygmunt August, ale ci posłowie stanowią modę, i sam król na ich wzór ubiera się w ziemiańskie, szaraczkowe ubranie na znak, że odtąd pójdzie za ich programem i wolą.

Najwალniejsza jednak różnica to jest ta, że Iwan Groźny żadną miarą nie pozwolił mieć swoim oprycznikom jakichkolwiek stosunków z bojarami i raz na zawsze przeciął między nimi wszelkie związki, gdy tymczasem w Polsce wszyscy ci krzykliwi posłowie i cały ten tłum „szaraczkowej” szlachty, pomimo że narazie miotają się na senatorów i trzymają niby z królem, to jednak zawsze doskonale to czują, że należą wraz z senatorami do tych samych rodów i herbów, i dlatego też, jak tylko zdobędą pewne ustępstwa, to zaraz znajdują drogę do porozumienia się z senatem, i zaraz bracia szlachta wpada w objęcia braci senatorów, tak że w rezultacie nie z królem, ale przeciw królowi stanął okoniem rozszerzony, zjednoczony i świadomy swych interesów, idący ławą stan szlachecki, i tak, zamiast silnej władzy i rządu wyrosła — „złota wolność”.

Zupełnie inaczej w Moskwie. Tam wśród bojarów nie było wcale świadomości stanowej ani solidarności, bojarzy walczyli z sobą wzajemnie i szli luzem, i stąd Iwan Groźny zdołał całe bojarstwo zgnieść i rzucić pod swe stopy i porównać wszystkich w jednej wspólnej niewoli...

I stąd to, w tym samym czasie, kiedy Moskwa staje się piekłem dla bojarów, — Polska staje się rajem dla szlachty; stąd to, kiedy Iwan jest najwybitniejszym niszczycielem arystokracji moskiewskiej, to Zygmunt August jest królem — szlacheckim.

Nic nie jest tak wymownym przykładem tej różnicy między Zygmuntem Augustem a Iwanem Groźnym, jak bezustanna emigracja bojarów, uciekających właśnie w tych czasach z Moskwy do Polski. Jak ptaki pod jesień, jeden bojar za drugim ucieka od mroźnych lodów północy, aby szukać schronienia w kraju złotej wolności, a przede wszystkim ów najgłośniejszy książę Kurbskij, który, przybywszy do Zygmun-



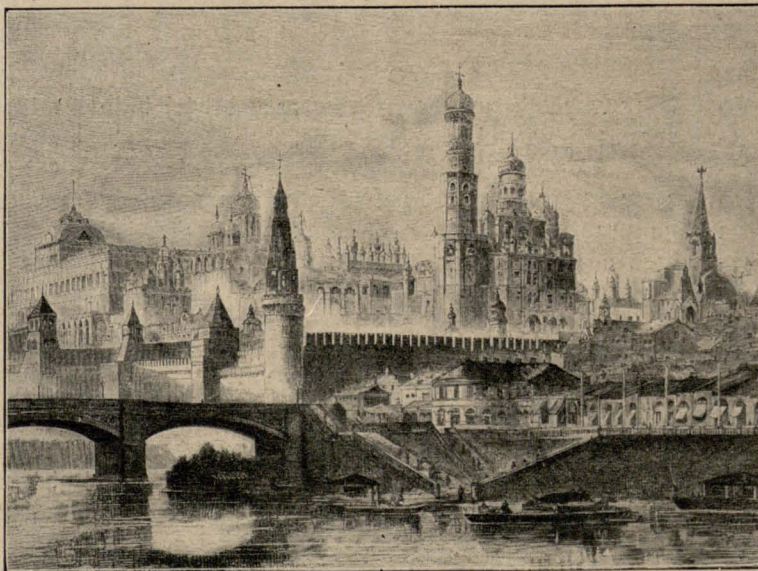
ZAMEK NA WAWELU.

ta Augusta, w sławnych swych listach złożony tyranowi północy i wyzywa go za jego okrucieństwa na ostateczny sąd Boga, za co, jak wiadomo, w „Królu Duchu” Słowacki wystawił mu pomnik w cudnych pieśniach o Świtynie i jego pośle, Zoryanie (któremu, jak każda legenda, srogi tyran, czytając list, przewierca sławnym kosturem nogę).

Ale do Polski uciekają z Moskwy nie tylko bojarzy. Za nimi ciągnie z Moskwy drukarz, Fiedorow, za nimi ciągną też wszyscy ci, co zaczynają zbaczać od starych zasad, a przede wszystkim od prawej wiary cerkiewnej, i przejmować się nowinkami religijnymi.

Oni nie mają co robić w kraju Iwana Groźnego, bo ten stał nieugięty i niezłomny przy starej wierze prawosławnej, uważając ją za fundament swego caratu (broniąc jej zapamiętałe w dysputach czy to z jezuitą Possewinem, czy z bratem czeskim Rokitą).

Zupełnie inaczej Zygmunt August. Ten nie stanął silnie na gruncie żadnej wiary. Był katolikiem, ale w r. 1563 nadał zupełne równouprawnienie schizmatykom i czynił wszelkie ustępstwa nowowiercom. Nic tak dobitnie nie maluje tolerancji, a również braku decyzji u naszego Jagiellona, jak owa chwila, kiedy, zaproszony przez Radziwiłła, gotów był już odwiedzić zbór kalwiński w okolicach Wilna i już siadł na koń, gdy wtem stanął przed nim ka-



OGÓLNY WIDOK KREMLA.

tołicki biskup, ubrany w szaty kościelne, ujął konia królewskiego za cugle i zawiódł do kościoła katolickiego. Ta scena najwymowniej odrysowuje tę chwiejność naszego Jagiellona w przeciwieństwie do twardego i niezłomnego Iwana Groźnego, któryby nigdy nie ścierpiał, aby ktokolwiek wodził cuglami jego rumaka. Ta scena jest wymownym dowodem, jak inny wiał duch z tej strony Dniepru, a inny z tamtej.

Tam, za Dnieprem, wszystko dzieje się tak, jak sam car chce, tu, w Polsce, jak kto chce! Tam wyłączne panowanie prawosławia, tu tolerancja dla wszystkich wiar, choćby najjaskrawszych sekt!

Tam wyłączne panowanie jednego narodu ruskiego, tu pokój i zgoda wśród różnych ras, wśród Polaków, Niemców, Rusinów i Żydów; tam państwo jednolite z jednej bryły, tu federacja różnorodna!

Tam cementem miał być strach i „groza”, tu braterstwo, „ludzkość” i miłość wśród braci szlachty!

Tam zrównanie wszystkich w niewoli wobec cara, tu „złota wolność” jednego stanu szlacheckiego!

Tam potężny gmach samodzierżawia, zbudowany w kałużach krwi, gmach, na którego czele stoi car, — car dziedziczny; tu republika platońska, piękna, jak marzenie, z królem na czele, — z królem elekcyjnym na czele!

Takie to, w tak sprzecznym stylu budowane gmachy wyrastały tuż koło siebie: jeden był antytezą drugiego. Oczywiście, obaj budowniczości tych dyamentalnie różnych budowli, granicząc z sobą o miedzę, doskonale sobie zdawali sprawę ze wzajemnego, tak daleko idącego przeciwieństwa, rozumieli dobrze, że są rywalami na śmierć i życie i że tworzą wrogię sobie i coraz to bardziej spreczne centra Słowiańszczyzny, jedno na Kremlu, a drugie na Wawelu.

Każdy z nich patrzył zazdrośnie na gród swego rywala i bał się, aby go nie przerósł. Każdy dla swego tronu i korony chciał zdobyć jak najwięcej blasku i uroku i wyżej wspiąć się od swego współzawodnika w dostojności, godności, znaczeniu i tytułach. Wszakże ten Iwan chce być najwyższym monarchą w Słowiańszczyźnie, on pierwszy z władców moskiewskich koronuje się uroczystie na cara i otacza ten tytuł czcią niemal religijną. I tu wybucha waśń i zazdrość. Tego tytułu „car” w żaden sposób nie chce mu przyznać Zygmunt August, za co wzamian Iwan nie tytułuje go królem, ale tylko księciem litewskim.

Cały ten spór o najwyższy tytuł w Słowiańszczyźnie — nie był to tylko spór o czcną formalność. Na tle tego sporu rozgrywała się walka o coś więcej, a mianowicie o Ruś! o tę Ruś, która leżała między obu rywalizującymi z sobą słowiańskimi dynastiami. O tę Ruś zabiegał Iwan Groźny, gdyż, chcąc pozować na cara, czuł dobrze, że do zupełnego blasku majestatu carskiego brak mu było właśnie Kijowa, tej prastarej stolicy św. Włodzimierza, przechowującej tradycje dawnych Rurykowiczów kijowskich. Ta zaś prastara stolica i główny zrab dawnej Rusi Ruryków była w ręku jego rywali Jagiellonów, i stąd walka z Zygmuntem Augustem o to stare dziedzictwo swoich antenatów stała się teraz jego programem, programem, który z a a k c e n t o w a ł właśnie przez przyjęcie tytułu cara Rusi, i to „cara wszytkiej Rusi”.

(DN)

JAN LEMAŃSKI:

DWA HERBY BAJKA.

Niechaj z szanownych osób
Odpowie mi która,
Jaki pożyteczniejszy
Ptak: orzeł, czy kura?

Orzeł... (żem odeń zaczął,
Przepraszam was, kwoki),
Orzeł lubi samotność
I lot pod obłoki.
Ma gniazdo na wyżynach,
Gdy bawi w dolinie,
To pewno coś ze stada
Pasterzowi zginie.
Orzeł-rabuś, łupieżca
Królewskim jest godłem.
(Daruj mi, rojalisto,
Jeśli cię ubodłem).

Przejdźmy teraz do kury.
Rzuć na nią żrenice,
Ujrzysz co? że je poślad,
Żyto, groch, pszenicę;
Masz z niej mięso, masz pierze;
Korzyść ta się zdwaja
I potraja, gdy zważysz,
Że ci znosi jaja.
A ponieważ się wszystko
Żywe z jaj wywiodło,
Kura może więc służyć
Nam za życia godło.

Tak więc, szanowna pani
Widzi, że za duże



BIUST P. BARTHOLOMÉ

A. BARTHOLOMÉ

Przystługi życiu berło,
Oddajemy kurze.

Co do orła, choć kocha
Po królewsku szczyty,
Co najwyżej, mu przyznać
Można—tron bandyty.

Za to, żem był z respektem
Dla kur w tym eposie,
Ufam, że to ocenią
Szanowne gosposie.

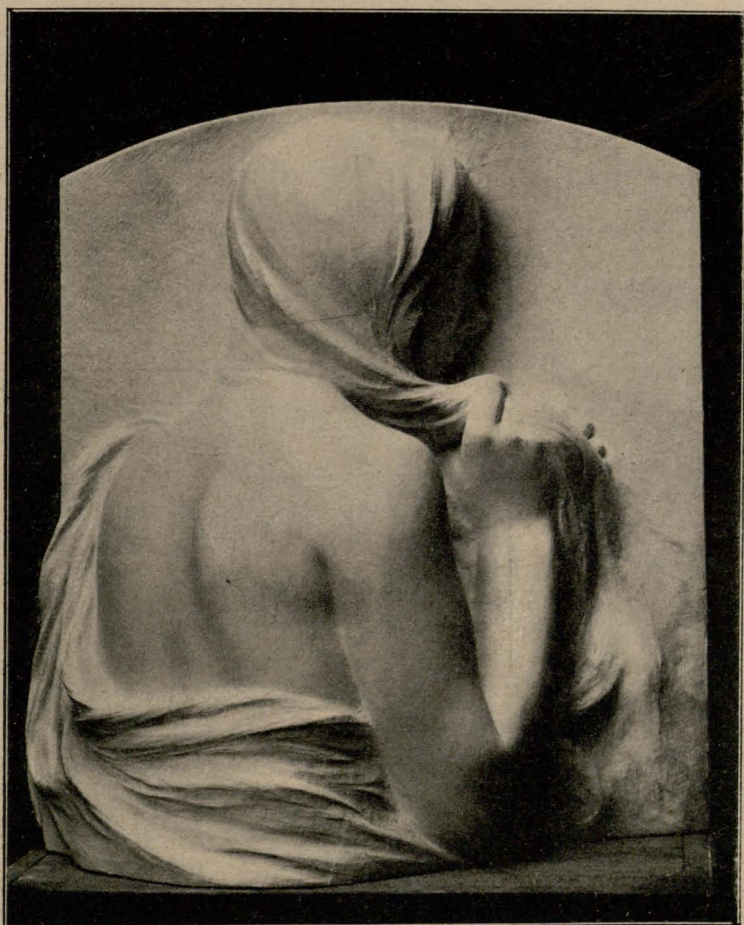
Tak, niema to, jak kura:
Przyjemna, lecz zyskiem
Górująca nad orłem,
Szkodliwem ptaszyskiem.

Ponieważ w naszych stadach
Orzeł robi szczyrby,
Nie będziemy brać orła,
Lecz kurę na herby.

Jeżeli, zamiast orła,
Będzie w herbie kura,
Sądzę, że na tem zyska
Szczęście i kultura.

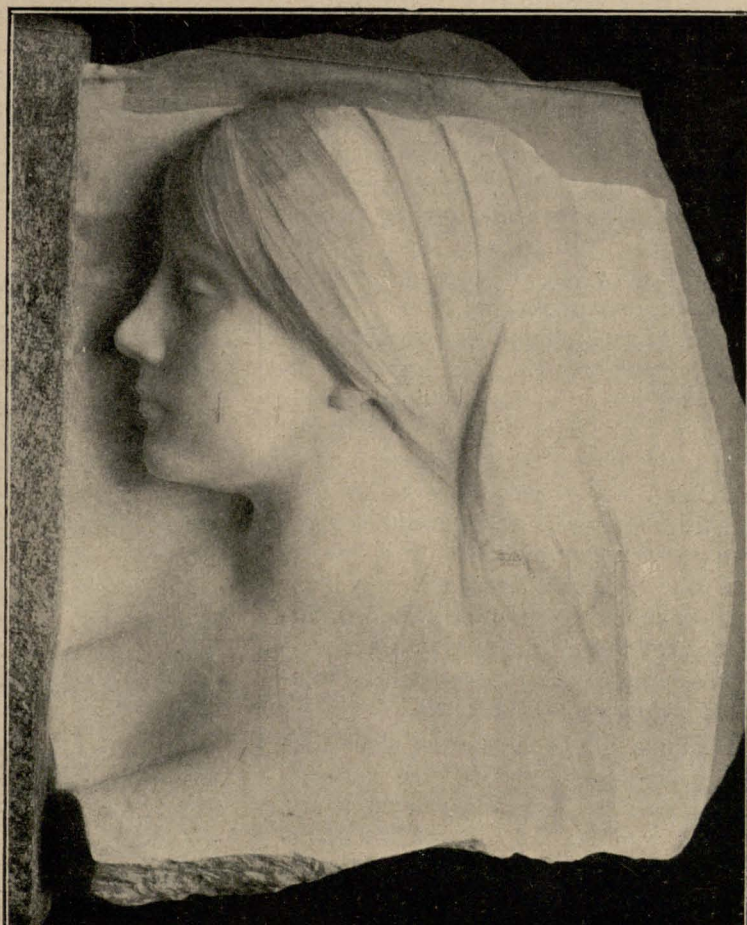
Szczęśliwy naród, który
Kurze cześć oddaje,
Dla jej jaj, bo wszelkiego
Źródłem życia—jaje.

Narodowi zaś, który
Orła w herb wziął—biada:
Ponieważ orzeł owce
I barany zjada.



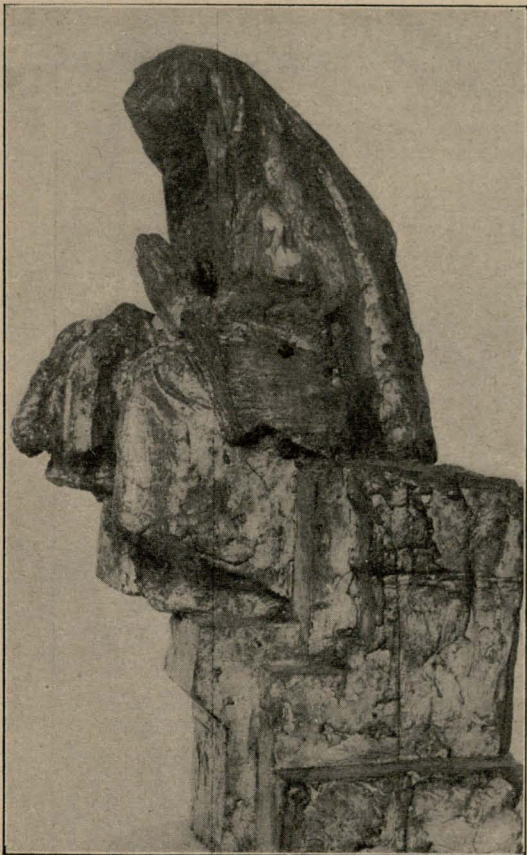
RANNA TUALETA

A. BARTHOLOMÉ



ŻAL

A. BARTHOLOMÉ



MODLITWA

A. E. BOURDELLE

BOLESŁAW PRUS:

Dyabeł w butelce.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Na wschodniej, jeżeli się nie mylę, Syberyi, gdzieś pod Irkuckiem, leży wieś Błahoczyńsk, która ostatnimi czasy zdobyła rozgłos w prasie rosyjskiej. Tytułem do sławy jest okoliczność, że jej mieszkańcy: młodzież, starcy, mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci i niemowlęta—piją prawie do śmierci. Wymarli jeszcze nie wszyscy, jeszcze większość przeziaduje w szynku; w każdym razie w roku ubiegłym, dzięki wódce—180 osób porzuciło ten padół placzu. Reszta, nie wyłączając 10-cio i 8-ioletnich pędraków, odwiedza jak najskrzętniej monopol. Nie bywają w nim tylko niemowlęta, lecz te pieczołowitość rodzicielska poi mlekiem, zaprawionem wódką. Gubernator, który odwiedził Błahoczyńsk, twierdzi, że nie znalazł we wsi ani jednego trzeźwego człowieka. Kiedyś było tam zamożnie, dziś bieda; w każdym razie mieszkańcy mogą jeszcze poświęcić monopolowi jakąś setkę tysięcy rubli rocznie, no—a to jest chyba najważniejsze.

Sredniowieczni alchemicy zamęczali się poszukiwaniem takiego proszku, który zamieniałby ołów na złoto, i—takiego eliksiru, który dawałby ludziom, jeżeli nie wieczną młodość, to przynajmniej wesołość, niby odbłask raję na ziemi.

Zachodzi pytanie: czy tym eliksirem cudotwórczym nie jest... alkohol?... Ilu bo on ludzi wzmacnia, ogrzewa, uspokaja! ile trosk łagodzi, ile wywołuje śmiechu!

Mnogie są typy pijaków; niektóre z nich wylicza dr. T. Jaroszyński w „Kwestyi alkoholizmu”. Więc zmartwiony lub chory pije dla zapomnienia, zmęczony życiem i pracą dla podniecenia sił, głupiec, nie umiejący myśleć, pije dla zabicia czasu, rzetelny konserwatysta dla zwyczaju, człowiek ustępliwy pozwala się zmusić do kieliszka, a nareszcie—„są i tacy, którzy świadomie poszukują alkoholu, gdyż im smakuje: są to właściwi pijacy-degeneranci”.

Kto wie zatem, czy mieszkańcy Błahoczyńska nie są filozofami, którzy, przekonawszy się, jako rzeczywistość nic nie jest warta, poszukują ideałów... na dnie butelki? Może i do nich doszedł aforyzm: „Tyle szczęścia, co człek prześni”... Wszyscy szukamy szczęścia i, choćby we własnym przekonaniu, mamy do niego prawo.

Bieda tylko, że o „szczęściu”, płynącym z alkoholu, wie coś i medycyna, a bliżej poucza nas o niem dr. L. Bregman w broszurze: „Przeciw alkoholizmowi”. Według lekarzy owo „szczęście” alkoholiczne ma nawet specjalną nazwę: *euforya*, a polega na—„dobrem samopoczuciu, poprawie humoru, na zapomnieniu o troskach, na wesołości i zwiększonej ruchliwości”.

Wszystkie te rozkosze dźwięczą i promieniają przy małych dawkach alkoholu; przy większych—„zabawa może przejść w burdę i zakończyć się bójką, a nawet zbrodnią”. W każdym zaś wypadku—„po objawach podniecenia następuje porażenie; ludzie upijają się, tracą świadomość tego, co mówią i czynią, a na drugi dzień budzą się z bólem głowy, uczuciem ogólnego rozbicia i niezdolności do pracy”.

Uważane z tego punktu „szczęście” alkoholiczne zaczyna wyglądać niedobrze. Uciecha, po której następuje niesmak przykry a długotrwały, dużo traci na swoich powabach. Jest to jednak dopiero początek: w broszurze bowiem dra Bregmana znajdujemy całą litanię nie tylko przykrych niesmaków, ale cierpień i klęsk, których ostatecznym uwieńczeniem bywa—paraliż, obłąkanie, śmierć zarówno samych pijaków, jak i nieszczęsnego ich potomstwa.

Żołądek, wątroba i nerki, serce i arterye, krew i mózg, wszystko to zostaje zatrute i zmienione nawet małymi dozami alkoholu, wypijanymi codziennie.

Dalszymi zaś skutkami są: większa skłonność do chorób, dłuższy czas leczenia się z nich, krótsze życie, gruźlica, obłąkanie, częstokroć samobójstwo. Niemniej groźne są szkody natury duchowej. Alkohol przytępia pamięć, osłabia pracę umysłową, hamuje postępy w naukach. Po wypiciu kieliszka wódki nawet żołnierze strzelają cztery razy gorzej, aniżeli na trzeźwo.

A szkody społeczne!... Zaniedbanie obowiązków rodzinnych i obywatelskich, zubożenie, prostytutcy, skłonność do przestępstw—oto skutki alkoholizmu. Kto z nas wreszcie nie spotkał w życiu ludzi bardzo zdolnych, wielkiej wartości moralnej, którzy wprost zmarli przez alkoholizm?

Zabójczy wpływ napojów spirytusowych na organizm ludzki i duszę można objaśnić następującym przykładem. Wyobraźmy sobie, że człowiek, aby żyć zdrowo, powinien wydawać np. 10 groszy co godzinę. Gdy w ciągu jakiejś godziny wyda więcej, będzie wesoły, gdy wyda mniej—smutny, a nawet chory.

A teraz pomyślmy, że, w pewnej godzinie, zamiast 10 groszy, wydaliśmy 50 groszy. Rozumie się, że uciecha nasza będzie bardzo

wielka—w danym czasie; co jednakże nastąpi trochę później?... Oto—ponieważ zużyliśmy o 40 groszy za wiele, więc musimy je odzyskać, lecz w jaki sposób?... Jest tylko jeden: zmniejszenie wydatków w godzinach następujących. Ale ponieważ tego rodzaju pożyczki zawsze ciągną za sobą procent lichwiarski, więc, zamiast nadebranych 40 groszy, musimy zaoszczędzić bodaj—czy nie 80 groszy... Przypuściwszy zaś, że co godzinę odłożymy tylko dwa grosze, będziemy musieli od tego momentu wydawać, zamiast 10, tylko 8 groszy, i to przez 40 godzin. A że każde zmniejszenie wydatku pociąga za sobą smutek, upadek sił, więc rzecz jasna, iż po uciechach przepicia musi nastąpić wiele godzin apatii, znużenia i niesmaku. Co zaś najgorsze, że przy gwałtownych podnieceniach sił i upadkach prędkiej zużywa się i nasz organizm. Oto, zdaje mi się, najprostsze wyjaśnienie skutków alkoholizmu. Za to, że w pewnej chwili wydałeś trochę za wiele, musisz przez długi czas skąpić sobie i wypłacić znacznie więcej.

Dla ostatecznego oświetlenia obrazu przytoczę z broszury dra Bregmana jeszcze następującą cyfrę. W Europie, w ciągu każdego roku, z powodu alkoholu ginie 250,000 ludzi. A że podobno same Niemcy wydają na alkohol rocznie przeszło półtora miliarda rubli (!),



PŁASKORZEŻBA

A. E. BOURDELLE

więc—za drogie, ale to bardzo drogie pieniądze kupujemy sobie śmierć w najohydniejszych postaciach, tudzież mnóstwo chorób, zaczynając od lekkiego kataru gardła, kończąc na paraliżach i obłąkaniach.

Mieszkańcy Błahoczyńska niedobrze robią, odwołując się do eliksiru wiecznej młodości i wesołości. Ani zazdrości, ani naśladować ich nie warto.

Oto ogromna zasługa urzędzonej w mieście naszym wystawy antialkoholicznej, i nie mam dość słów dla osób, które wzięły w niej udział, a nade wszystko dla lekarzy i badaczy, którzy złożyli tam swoje pracowite, a mądre i szlachetne wysiłki. Przez sale wystawy przesunęło się tysiące widzów obojętnej płci, rozmaitego wieku i zajęć. Każdy z nich słyszał coś niecoś o szkodliwości wódki, ale—nie zwracał na to uwagi, widząc ogromną liczbę takich, którzy piją, i—sam niejednokrotnie ulegając zaproszeniom. Dzisiaj, obejrawszy tablice i okazy wystawy i zamyśliwszy się nad nimi, już będzie wiedział, że na dnie każdego kieliszka siedzi najzłośliwszy z demonów, który za nikłą przyjemność każe sobie płacić



RZEŻBY ANTONIEGO EMILA BOURDELLE'A.

nie tylko naszym zdrowiem i życiem, ale zdrowiem i życiem potomków!

Plastyczne wykazanie ogólnych skutków alkoholizmu jest to dopiero jedna użyteczna strona wystawy. Niemniej ważną zasługą jej są cyfry i fakty, dotyczące naszego narodu.

U Francuzów z dawien dawna istnieje przysłowie: „pijany, jak Polak”, które w nadzwyczajnych wypadkach zastępują innemi: „pijany, jak cała Polska”... z czego brać mamy naukę, że rodacy nasi nie zawsze jaśnieli pięknymi obyczajami, przynajmniej w oczach Francuzów... Jakże jednak naprawdę wygląda ta kompromitująca nas kwestya?

Na to odpowiadają: 1-mo pp. Jodkowski i Kączkowski, że, gdy w Królestwie Polskiem wypija najczęściej gub. warszawska: 2 i pół kwarty alkoholu rocznie, najmniej gub. płocka: i kielecka około kwarty, to już w gub. kijowskiej wypijają po 3 kwarty, zaś w Prusach po 4 i pół kwart, a w Austrii po 5 i pół kwart na jednego przeciętnego mieszkańca.

Ciż sami badacze wykazują, że w Królestwie Polskiem od roku 1896 do 1905 spożycie alkoholu spadło o pół kwarty na rok.

2-do. Z mapy dra Macieszy wynika, że, gdy w powiecie warszawskim przeciętny mieszkaniec wypija za 8 rubli wódki, a w łódzkim przeszło za 6 i pół rubli rocznie, to w innych powiatach piją znacznie mniej, np. w łomżyńskim, płockim i wrocławskim za 2 do 3 rubli.

3-jo. W broszurze d-ra T. Jaroszyńskiego znajduje się następujące zestawienie: dr. Rothe w roku 1882 obliczał ilość wypijanej przez mieszkańca Królestwa wódki na 8 kwart i 3 kwatki, gdy w tymże czasie przeciętny Niemiec wypijał 10 kwart, Duńczyk 20, a Holender 40 (!)... Zaś piwa wypijali Polacy po

12 i pół kwart na głowę, gdy na Francuza wypadało 21, a na Niemca 52 kwarty.

W siedmnaście lat później tą samą sprawą zajął się dr. A. Puławski i okazał, że, gdy w roku 1891 wypijano u nas po 6 kwart wódki na głowę, to w roku 1894 wypijano tylko po 5 i ćwierć. A nareszcie pp. Jodkowski i Kączkowski obrachowali, że od r. 1896 do

FRAGMENT POSĄGU
DZIEWICY ORLEAŃSKIEJ

A. E. BOURDELLE

1905 przeciętny mieszkaniec Królestwa wypija o pół kwarty mniej wódki,

Opierając się na tych podstawach, zdaje się, że dr. Jaroszyński miał wszelkie prawo zapisać w swoich notatkach: „Królestwo Polskie w środkowej Europie tworzy jakby wielką wyspę trzeźwości, na której spożycie alkoholu prawie z roku na rok zmniejsza się”.

Trzeba jeszcze dodać, że wsie nasze mniej piją, aniżeli miasta, a w czasie karnawału i po zbiorach pije się więcej, aniżeli np. w wielkim poście.

Ogromnej doniosłości spostrzeżenia porobił dr. Zawadzki w „Pogotowiu ratunkowym”, które udziela pomocy w rozmaitych wypadkach, a między innemi spotyka i pacjentów pijanych. Otóż zestawił on procent uszkodzonych pijaków różnych wyznań z procentami ludności i otrzymał tablicę następującą:

	Wśród ludności.	Między pijanymi.
Katolicy tworzą proc.	57	86
Prawosławni „ „	3,6	7,6
Ewangelicy „ „	2	2
Żydzi „ „	34	3

Czy domyślasz się, czytelniku, ile tragiczności leży w tych cyfrach?... Oto katolicy mają *półtora* raza więcej stosunkowo pijaków, aniżeli ewangelicy, prawosławni mają stosunkowo przeszło dwa razy pijanych, aniżeli ewangelicy, a Żydzi... Żydzi w porównaniu z ewangelikami mają 11 razy, a w porównaniu z katolikami 16 razy mniej pijanych!

Czy rozumiemy teraz jedną... powtarzam tylko: jedną z przyczyn niższości Słowian wobec „Szwabów”, a jeszcze bardziej wobec Żydów?... Niestety! obok patrona, który nazywa się Wódkociągiem, my, Słowianie, mamy jeszcze kilku, niemniej wpływowych: Małoroba, Dużojada, Mnogospała i Rublochwyta. I za

to gniewamy się na „Szwabów”, a pogardzamy Żydami.

Przychodzą cyfry jeszcze smutniejsze. Według dra Roszkowskiego, który zbadał przeszło 2,400 dzieci — i wśród nich alkohol zdobywa sobie otiary, naturalnie, przedewszystkiem z winy rodziców. Więc pije wódkę przeszło 2 proc. dzieci, mających kwartał, 19 proc. dzieci rocznych, a zaś 6 proc. 12-tolatków pija już wódkę stale. Cyfry te uzupełnili pp. Jodkowski i Glass datami, odnoszącemi się do młodzieży szkolnej. Z badań ich okazuje się, że 86 proc. uczniów i 89 proc. uczennic wogóle piją trunki, z pośród nich jednak tylko 27 proc. uczennic, ale za to aż 67 prc. uczniów piją chętnie. Nadto 6 prc. uczniów, a 3 i pół prc. uczennic pije trunki codziennie...

Wobec tych spostrzeżeń, zapewne jak wszyscy starszankowie, mam ochotę zawołać:
— Tego za „moich” czasów nie bywało!...

„Nie opuszczaj nas!”

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Pada z ukosa słońko majowe,
Wieczorna rosa perli dąbrowę,
Zmilkł chorał ptaszy, zasnęły kwiaty...
Dobytek z paszy wraca do chaty—
Skrzypi żałośnie żóraw studzienny...
Na starej sośnie bocian półseny
Na jednej nodze pogląda z góry
Po wiejskiej drodze hen! do „figury”...

Idzie słońko zachodzące coraz niżej, a coraz
chyżej, ku ziemi kochanej, ku wiosce rodzonej
idzie.

Idzie ku polom wonnym, ku lasom
szumiącym, ku chatom niskim, ku białemu
dworkowi idzie.

To przystanie przed pasyjką, to się
w łącznej strudze obaczy, to za wzgórkim
przyczai, to za gąik schowa, a
idzie...

A za słońkiem zachodzącym, za
słońkiem spokojnym po deptanej bla-
skim steczce, płynie zmierzch mroczny,
zmierzch siny, zmierzch szary...

I sieje gwiazdy a rośe...

Na niebie światełka migocące —
gwiazdy, na ziemi, jakby odpustnych pa-
ciorków posu!—rosa srebrzysta.

A po rosie, po wieczornej, hej! hej!
biegają echa i, wonne, grają... zawodzą...
przyśpiewują...

Hej! hej! leci pieśń tęsknica, pieśń
ziemska, dziwna, wielka!

Leci szum drzewin, ptaków ćwierka-
nie i szmer runi i ligawkowa śpiewka
i gwar pastuszy i pszczoł brzęczenie...

Leci „Anioł Pański” zagonów.

Wszystko wzdycha a śpiewa...

A najgłośniejsz, najżałośliwiej pod so-
sną staruchą, u kapliczki bielonej śpiewa-
ją ludzie.

„Nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas!

O Matko, nie opuszczaj nas!”

Śpiewają, ciągiem śpiewają...

U stóp Maryi lampka się pali,
Na świętej szyi sznurek korałi,
Dzieciątko Boże wianuszek w ręce
I kłóśne zboże ma na sukience...

A ludu moc! Jezu słodki!

Tuż przy balaskach klęczą dziewczęta,
W krasnych zapaskach, strojne od święta,
Za dziewczętami, jak sierpem rzucił,
Kłęka ze łzami, kto z pola wrócił,
Kmiecie, gosposie, parobcy, dzieci...
I pieśń po rosie w zaświaty lecił!

„Nie opuszczaj nas!”

Hej! hej! staraś ty, sosno! ale i lud nie
dzisiejszy, i pieśń leciwa! Hej! hej, starucho! du-
żoś ty rosy wypija, siła wichur słyszała i ludu
śpiewającego moc, jakby dziś pod ugwieżdżonym
niebem.

Hej! hej! a i pieśni słyszałaś różne.

Płynęły ku gwiazdom, od ziemi płynęły, od
polskiej, jakby dzisiaj—jednakie...

„Nie opuszczaj nas!”...

Hej! hej! znasz to wołanie, drzewinko, znasz!
boś tu zrodzona, wyrosłaś tu, jedną pierśią wykar-
miona, sosenko! chato! trumienko! krzyżu przy-
drożny!

Śpiewają... Cięgiem śpiewają...

Barć stara... lud nie dzisiejszy i pieśń leciwa...

Jeden maj młody...

Śpiewają, ciągiem śpiewają... Aże zmierzch
dzwoni! aż gwiazdom dziwno!

„Nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas!

O Matko, nie opuszczaj nas!”

Żaden ptak, żadna ziemia, żaden kraj tak nie
umie...

Niema nigdzie takich świątek,
Wśród królewiat, czy paniątek,
Jakie w naszej wsi!
Gdy maj stanie pod „figurą”,
Gdy oblegną ludzie chmurą,
Kiedy nasza pieśń przeleci:
„Błogosławże swoje dzieci,
Panieczek Ty”...

Niema nigdzie takich świątek,
Wśród królewiat, czy paniątek,



NABOŻEŃSTWO MAJOWE

F. M. WYGRZYWAŁSKI

Jako w naszej wsi o maju,
Jako w naszej wsi!

Niema nigdzie! boć i o ból serdecniejszy,
o silniejsze łaknienie nadziei, o większe upragnie-
nie pokrzepku trudno!

„Nie opuszczaj nas!” tylko z polskiej piersi
może wlecieć modlitwą-śpiewaniem!

— KAZ. LASKOWSKI.

Towarzystwo literatów

i dziennikarzy polskich

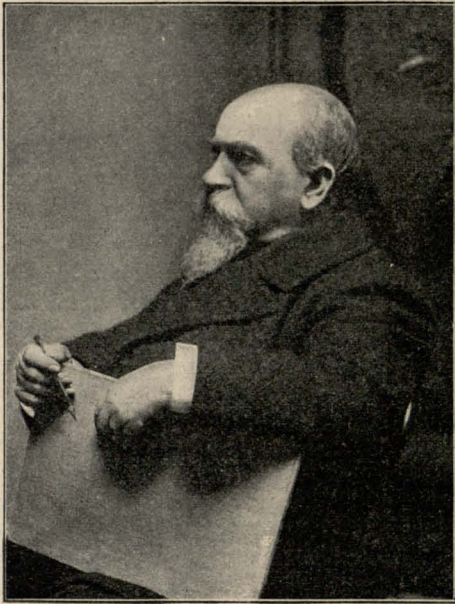
W dziedzinie naszych stosunków literackich
i dziennikarskich zaszedł fakt dużego znaczenia.
Po długich i usilnych staraniach, rozpoczętych przed
kilku laty, udało się dopiero z wiosną r. b. uzy-
skać zezwolenie władzy na zawiązanie Towarzy-
stwa literatów i dziennikarzy. Po ukonstytuowa-
niu się, Towarzystwo przystępuje obecnie do pra-
cy na rozległym, a zaniedbanym dotychczas terenie.

Uregulowanie stosunków pomiędzy współ-
pracownikami a wydawcami pism i redaktorami,
pomiędzy autorami a wydawcami, oraz pomiędzy
autorami dramatycznymi a dyrekcjami teatrów,
pomoc materialna i moralna dla członków, obrona
prawna ich interesów, stosunek literatury i dzien-
nikarstwa do władz, zwłaszcza do cenzury, zorga-
nizowanie pośrednictwa pracy, a nadewszystko pod-
niesienie poziomu dziennikarstwa polskiego do wy-
żyn właściwych, z uwagi na społeczne i narodo-
we znaczenie słowa drukowanego u nas—oto naj-
ważniejsze punkty programu działalności nowego
Towarzystwa.

Nie należy tać, że staje ono wobec zadań
ciężkich i w wykonaniu trudnych. Brak życia kor-
poracyjnego w Kasie literackiej, która z mocy
szczyptych ram swojej ustawy nie mogła rozwinąć
w ciągu dziesięcioletniego swego istnienia
szerszej działalności, sprawił, że najważniejsze bo-
lączki zawodu literackiego i dziennikarskiego są
u nas jeszcze nie tknięte, nie omówione, nie
oświetlone należycie. Nie mamy żadnej organiza-
cji wspólnej, żadnych norm, któreby obowiązywa-
ły wszystkich i tworzyły grunt do wzajemnego
porozumienia się i solidarnego postępowania w wy-
padkach ważniejszych. Jesteśmy rozbitci, a w sku-
tek tego słabi i przysłowiowo niezaradni. Skupić
się, rozciągnąć wzajemną kontrolę nad sobą i za-
pewnić sobie pomoc wzajemną, nie utyski-
wać na złą dolę, ale nauczyć społeczeń-
stwo cenić każdy talent i szanować każdą
pracę, spełnioną sumiennie i z myślą o po-
żytku ogólnym, zakończyć nieporozumienia
z wydawcami obustronnie szczerem, jasnym
i poważnym omówieniem wszystkich kwe-
sty drażliwych i spornych, ułatwić sobie
warunki pracy, a przez to uczynić ją wy-
dajniejszą i odpowiadającą potrzebom kraju
w większym, niż dotychczas, stopniu, czuwać
nad godnością zawodu, który, obok talentu
i odpowiedniego przygotowania naukowego,
wymaga także od swoich adeptów możli-
wej do osiągnięcia doskonałości moralnej,
wreszcie dbać o to, aby nie *przypadek*, ale
świadomy wybór i powołanie istotne wpro-
wadzały ludzi na drogę pracy publicystycz-
nej i dziennikarskiej, która nie jest przy-
tułkiem dla wykołajców, ale poważnym
warsztatem pracy obywatelskiej, odpowie-
działnej wobec terażniejszości i wobec
przyszłości,—wszystko to stanowić będzie
niewątpliwie oś wspólnych naszych zabie-
gów od chwili, gdy pozyskaliśmy moż-
ność zajęcia się temi sprawami.

Aby jednak zabiegi te prowadziły do
zdobyczy konkretnych, trzeba zapewnić To-
warzystwu odrazu trwałą podwalinę. W sze-
regach jego członków powinniśmy się zna-
leźć wszyscy, bez względu na różnice, które
nas dzielą, a z widokiem jedynie na to, co
nas łączy, zespala i jednoczy. Tylko bo-
wiem siłami zbiorowemi i zbiorową do-
brą wolą potrafimy pchnąć z miejsca sprawę
i postawić ją odrazu na gruncie real-
nym.

A wymaga tego od nas nie tylko interes wła-
sny, zawodowy, ale także interes społeczny, z uwagi na
to, że literatura i prasa są tak ważną funkcją życia
narodowego, że zamęt, panujący w ich dziedzinach,
siłą rzeczy odbija się także i w dziedzinach in-
nych, gdy dobra organizacja pracy, ład i porzą-
dek w stosunkach, ściśle określenie praw i obo-
wiązków pracowników i wydawców przyczynią
się z pewnością do stopniowego usuwania braków
i niedomagań w szerszym zakresie naszego życia.
Z. D.



Józef Buchbinder.

WSPOMNIENIE.

Zmarły w dniu 14 maja r. b. Józef Buchbinder był bodaj ostatnim ze współczesnych malarzy naszych, który charakterem swojej twórczości kojarzył się z ideałami epoki Odrodzenia. Snując nić tradycji wielkiej sztuki w dziedzinie malarstwa polskiego, podejmował on w dalszym ciągu pracę swych poprzedników: Szymona Czechowicza, Antoniego Brodowskiego, a wreszcie swego mistrza — Rafała Hadziewicza. Od stu pięćdziesięciu lat z górą łańcuch tradycji, dzięki działalności tych artystów, łączył dorobek geniuszów Renesansu z polskim malarstwem; ze śmiercią Buchbindera pęka ostatnie bodaj ogniwo tego łańcucha.

Buchbinder w samym zaraniu swej samodzielnej kariery stanął wobec sztuki, jak przed abstrakcyjnym majestatem idei piękna; ukochał ją w rdzennej jej istocie wzniosłego ideału. Takim pozostał do śmierci.

Urodzony w 1838 r. w Mordach, w Siedleckiem, był początkowo wychowywany w jednym z klasztorów. Tryb życia klasztornego oddział silnie na młody umysł i wywarł wpływ na rodzaj jego twórczości. W 1856 r. wstępuje do b. Szkoły sztuk pięknych, gdzie wrodzony swój talent rozwija poważnymi studiami. Staje się ulubieńcem profesora Hadziewicza, który zaszczenia w uczniu kult dla przeszłości sztuki i dla jej największych przedstawicieli.

Ukończywszy szkołę w 1862 r., wyjeżdża dla dalszego kształcenia się zagranicę. Zaczyna od Dreźnie, gdzie, uczęszczając do akademii, kopiuje równocześnie w galerii. Przenosi się następnie do Monachium, a zapisawszy się do królewskiej akademii, wstępuje do szkoły kompozycyjnej słynnego naówczas prof. Schraudolfa. Tutaj, obok studyów, rozpoczyna pierwsze oryginalne obrazy.

W 1864 r. przenosi się do Rzymu, gdzie również uczęszcza przez czas jakiś do Akademii św. Łukasza, większą część jednak czteroletniego okresu pracuje samodzielnie. Obok kopii wykonywa na zamówienia ołtarzowe kompozycje. Kilka ze swych prac nadsyła do Towarzystwa Zachęty.

W końcu 1869 r. powraca do kraju i osiada na stałe w Warszawie. Wkrótce po powrocie wystawia „Ostatni zastaw”, niewielki rodzajowy obrazek, który ogólnie się podoba. W czasie wojny francusko-pruskiej rysuje do „Kłósów” portrety bohaterów wojny i komuny, lecz wkrótce rozpoczyna swą działalność religijnego malarza, która wysuwa go w pol-

skiem malarstwie nie tylko na pierwszy plan, lecz pozwala mu zająć wydatne i samodzielne stanowisko.

Z konieczności prace religijne rzadko mogą się na wystawach pojawiać, zwykle nie ma czasu na ich wystawienie. Z tego powodu bardzo mała część kreacji Buchbindera znana było ogółowi, zresztą był on artystą tego rodzaju, że nie lubił produkować się publicznie.

Olbrzymia liczba dzieł, które stworzył, zdobi wielką ilość świątyń, rozsianych po całym kraju. Warszawa posiada ich kilkanaście, przeważnie w kościołach: na Grzybowie, na Solcu i u św. Karola Boromeusza. Pracował do ostatniej chwili.

Zmarł w 71 roku życia, podupadły nieco w ostatnich paru latach na zdrowiu, w pełni jednak sił twórczych.

Tygodnik nasz traci w Józefie Buchbinderze jednego ze swych kierowników artystycznych, Objął on kierunek działu w 1879 r., po śmierci Franciszka Tegazza, i prowadził do 1886 r., oddając go w ręce ś. p. Jana Konopackiego. W *Tygodniku* rysował przeważnie portrety, które odznaczały się zaletami artystycznymi.

Rzucając garść ziemi na świeżo otwartą mogiłę, odchodzimy od niej ze szczerym żalem. Sztuce naszej ubyla siła, którą z trudnością będzie można zastąpić; ubył artysta o wielkiej kulturze fachowej i o niepoślednim talencie.

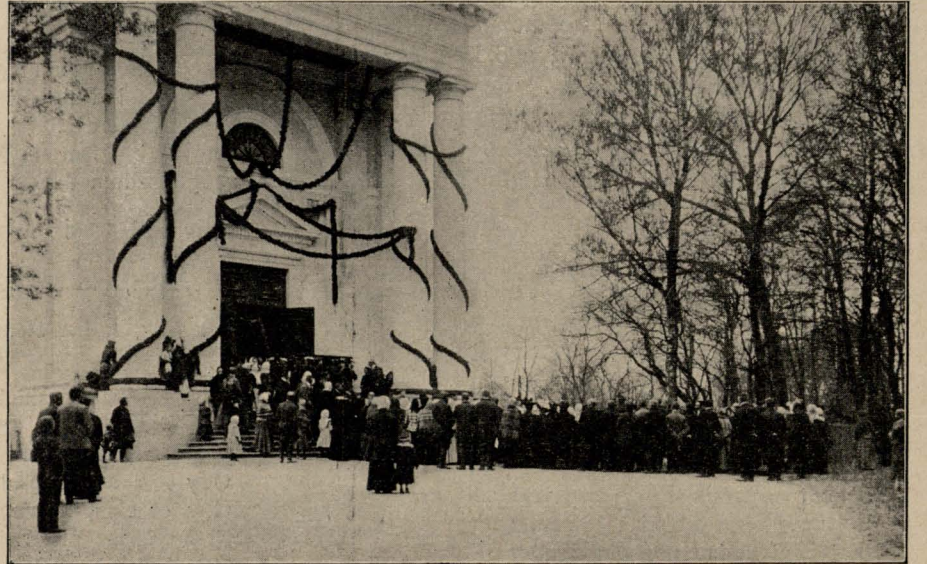
H. P.



„OSTATNI”

KRYPTA KRASIŃSKICH.

W Opinogórze, tam, gdzie spoczywają prochy śmiertelne tego, którego duch wiecznotrwały, szlachetny, a miłujący, jak anioł Zmartwychwstania, unosi się nad Polską, w krypcie, uświęconej trumną z popiołami Zygmunta Krasińskiego, ułożono na sen bez ziemskiego przebudzenia zwłoki wnuka po-



Pogrzeb ś. p. ordynata Adama hr. Krasińskiego w Opinogórze. Wyniesienie zwłok z kościoła.

ty, ś. p. ordynata Adama.

Ostatnia latorośl znakomitego szczepu, dostojna tradycją, nazwiskiem, znaczeniem, dostojniejsza była dziedzictwem podniosłych duchów, które potomkowi swemu dały ten górny lot, ten pęd do słońca, to gorące, bezbrzeżne ukochanie wielkiej ojczyzny, cechujące cały krótki, a owocny żywot zmarłego.

W tej niepospolitej duszy skrzydlata myśl łączyła się harmonijnie z dobrym, obywatelskim czynem, i pięknie powiedział w mowie pośmiertnej Seweryn ks. Czetwertyński, że dziad genialny wymodlił dla wnuka to, o co prosił dla całego narodu: Dobrą Wolę.



Pogrzeb ś. p. ordynata Adama hr. Krasińskiego w Opinogórze. Mowa mecenasa Antoniego Osuchwskiego.

Tak! Dobrą wolę miał Adam Krasiński i z całej głębi ofiarnego serca pragnął ten świat z „łez, krwi i błota” ujrzeć w promiennych blaskach nowej odrodzenia zorzy.

Dumny szlachetną dumą z nazwiska, które nosił, a które dźwięczy uchu polskiemu piorunem szabel z pod Sommosiery, cudowną wizją „Przedświtu” i proroczym „Psalmem przyszłości”, Adam Krasiński, prawdziwy szlachcic z ducha i z rodu, za święty obowiązek poczytywał sobie służbę twardą dla ojczyzny i w służbie tej na posterunku wytrwał do końca.

Na pogrzebie jego zbratały się stronnictwa, a oprócz wielu innych mówili pięknie i głęboko: Osuchowski, Chrzanowski, Czetwertyński.

Przeszłość narodu kochał rozumnie, dla terażniejszości pracował mężnie, w przyszłość Polski wierzył niezłomie. Niech odpoczywa w spokoju.

Przejdzie on do pamiętek kościoła, a pamięć o nim, związana z pamięcią wielkiego dziada, przetrwa wieki w sercu polskiem.

LAUREACI.

Dzień 15 maja stanie się epokowym w dziejach rzeźbiarstwa polskiego: konkurs na pomnik dla Chopina stał się najzupełniej niespodzianie wielką manifestacją naszej sztuki rodzimej, jednym wielkim okrzykiem, ku czci narodowego geniusza podniesionym.

Na tle niezwykle bogatego materiału artystycznego, mieszczącego się w sześćdziesięciu nadesłanych na konkurs projektach, wybiły się na plan pierwszy nazwiska trzech artystów, których dzieła sąd konkursowy wyróżnił, przyznając im nagrody.

Pierwszą nagrodę zdobył Wacław Szymanowski, artysta, którego oddawna przywykliśmy już widzieć w naczelnym szeregu znakomitych wyobraźni sztuki polskiej.

Rdzeniem jego organizacji duchowej jest żywiołowy wzlot ku wyżynom, genialny wprost rozmach pierwiastku twórczego, uczucie silne, wyrażone zawsze w formie odpowiedniej natchnieniu.

Szymanowski od pierwszych nieledwie kroków, które zaczął stawiać w dziedzinie sztuki, najprzód jako rzeźbiarz, następnie malarz, a w końcu znowu jako rzeźbiarz, szukał własnej swej ścieżki z uporem człowieka, który uświadamia sobie doskonale swe cele i czuje, że w sobie ma dostateczny zapas sił, aby cele te osiągnąć. Praca jego było to ciągle rwanie się naprzód, gorączkowy stan przetrwania w swym umyśle pierwiastków twórczych, wyszukiwanie właściwych ku pełnemu wypowiedzeniu się form plastycznych. Szedł on przez życie, otoczony widziadłami, w świecie, który sam stworzył i wypełniał wizjami szczerego natchnienia.



Władysław Marcinkowski.



Grupa sędziów sądu konkursowego na pomnik Chopina.
Rząd stojący (od str. lewej ku prawej): M. Wawrzeniecki, M. Kotarbiński, T. Jaroszyński, M. Zamoyski, M. Tolwiński, L. Méyet.
Rząd siedzący (od str. lewej ku prawej): A. E. Bourdelle, H. Ferrari, A. Bartholomé, J. Dziekoński, M. Gawalewicz.

Gdy rozpatrzmy cały dorobek twórczy Szymanowskiego, bezwiednie przychodzi nam na myśl, że jednak wyraz „talent” jest za mały na właściwe określenie tej wyjątkowo od natury obdarzonej indywidualności. Jest on jedynym z tych, którym,



Wacław Szymanowski.

nie czekając wyroków przyszłości, za życia już przyznać można genialność.

Każda koncepcja myślowa Szymanowskiego ma za podłoże silny wylew uczuć wewnętrznych, w żywiołowej fali natchnienia szerokie rozciągający kręgi. Czy będzie to „Walka Hucutów”, studium stanu duszy ludzkiej, czy „Modlitwa”, majestatyczny wyraz uczuć religijnych, czy owo przepiękne w wyrazie „Macierzyństwo”, zawsze i wszędzie poza owym dziełem widzimy potężny temperament twórczy, panujący wszechwładnie w dziedzinie, którą obrał, aby skarby natchnienia uprzystępniać ogółowi.

W niedługim czasie na horyzoncie sztuki polskiej zjawi się dzieło Szymanowskiego, które

olbrzymością zakroju stanie się epokowym w dziejach rzeźbiarstwa] współczesnego. Mówię o 52 figurach, mających stanowić artystyczne uwiecznienie Wawelu. Będzie to pierwszy może w swoim rodzaju cykl, którego nam pozazdrości Europa.

Władysław Marcinkowski, drugi z laureatów, znany był dotychczas, jako twórca wspaniałego pomnika na grobie Ś-go Wojciecha w Gnieźnie. Dzieło to jest najpoważniejszą pracą artysty. Poza nią stworzył on wielką ilość biustów i medalionów znanych osobistości, oraz pomnik Słowackiego w Miłostawiu. Wielkie wyrobienie fachowe, smak i pewna, wrodzona powaga cechują utwory Marcinkowskiego. Jest on jednym z tych, którzy ostatniego słowa nie wypowiedzieli; i sądzę, że niejedną jeszcze pracą przysłuży się rzeźbiarstwu naszemu.

Zygmunt Otto, trzeci z laureatów, ma wszelkie cechy wyjątkowego talentu. Rysem charakterystycznym jego organizmu twórczego jest fantazja szeroka, a jednak pewna siebie, przemawiająca do duszy, gdyż posiada wiele znamienych rysów charakteru polskiego. Jest on przede wszystkim dekoratorem wielkiej ręki, plastykiem, odczuwającym bryłę i jej znaczenie w przestrzeni. W Zygmuncie Otto posiadamy siłę pierwszorzędą, młodą, żywotną, jednostkę artystyczną, która niejednym jeszcze dziełem zaznaczy się we współczesnej sztuce naszej.

H. PIĄTKOWSKI.



Zygmunt Otto.



PROJEKT KONKURSOWY POMNIKA CHOPINA, NAGRODA I

WACŁAW SZYMANOWSKI (Kraków)



Projekt konkursowy pomnika Chopina, nagroda II.

Władysław Marcinkowski z Poznania

Pomnik Chopina.

W zeszłą sobotę, t. j. dnia 15 maja, jak to zapowiedziane było w programie, rozstrzygnięty został konkurs na pomnik Chopina. Szczęśliwym zwycięzcą w tym turnieju okazał się autor, a raczej autorowie projektu, oznaczonego Nrem 57: Wacław Szymanowski, znany szacownie artysta-rzeźbiarz, i Franciszek Mącznyński, architekt z Krakowa. Drugą nagrodę otrzymał Władysław Marcinkowski z Berlina za projekt pod Nrem 2 i Zygmunt Otto z Warszawy, którego przesылkę zapisano pod Nrem 31.

Zanim podamy sylwetki artystyczne laureatów i opis ich utworów, należy przypomnieć ważniejsze etapy tej sprawy, która naród cały nader żywo interesować powinna. Zawiązany w celu wzniesienia pomnika największemu naszemu kompozytorowi komitet, na którego czele stanęli: jako prezes, pełen zawsze ofiarności obywatelskiej i gotowości do służby publicznej, ordynat hr. Zamoyski, tudzież niezmordowany organizator, entuzjastyczny wielbiciel genialnego naszego muzyka, dr. Dobrzycki, jako wiceprezes, rozpiął konkurs rzeźbiarski.

Warunki tego konkursu, omówione wyczerpująco w gronie zaproszonych w tym celu artystów, rzeźbiarzy, malarzy i architektów, przedstawiały się pod każdym względem imponująco. Wyznaczono trzy nader wysokie, jak na nasze stosunki, nagrody pieniężne: 2,000, 1,500 i 1,000 rubli. Poza tem każdy z wyróżnionych do ściślejszej oceny projektów miał być nabyty przez komitet za rubli 300, co większej liczbie współubiegających się zapewniało częściową przynajmniej indemnizację poniesionych kosztów materialnych i wysiłku pracy. Zresztą żadnych ograniczeń, żadnych zastrzeżeń, ani wskazań, krępujących swobodę twórczą. Każdy z artystów miał najzupełniejszą wolność rozwinięcia swego pomysłu tak, jak go uniesie natchnienie.

Program określił tylko trzy punkty zasadnicze: monument poświęcony będzie pamięci największego polskiego muzyka narodowego, Fryderyka Chopina, stanąć ma na placu Wareckim, a jako materyał, wskazano bronz i granit.

W tym zakresie miała fantazja artystycz-

na najszersze pole do przejawów najbardziej oryginalnych i indywidualnych. Poza tem komitet, pragnąc, ażeby wszyscy bez wyjątku rzeźbiarze polscy stanęli do zaszczytnego współzawodnictwa, żadnego z nich nie zaprosił do jury konkursowego, lecz powołał trzech słynnych rzeźbiarzy zagranicznych. Jakoż zwrócono się do pp. Bartholomé'go i Charpantier'a w Paryżu, oraz do p. Bistolfigo w Rzymie. Bistolfigi misji tej przyjąć nie mógł, Charpantier zaś zmarł, niestety, na krótko przed ostatecznym terminem konkursu. Na miejsce ich tedy uproszono z Rzymu p. Hektora Ferrarego, a z Paryża p. Emila Bourdelle'a.

Tak tedy ostatecznie, jako rzeźbiarze, do sądu weszli pp. Bartholomé, Ferrari i Bourdelle. Są to artyści wybitni. *Tygodnik* w Nr. 20-tym podał krótkie ich sylwetki i wyjaśnił, jakie stanowisko zajmują dziś w sztuce europejskiej. Goście nasi w ściśle oznaczonym czasie zjawili się w Warszawie i w sobotę rano wraz z miejscowymi członkami sądu, jak było w programie zapowiedziane, stanęli do pracy.

Sąd ten stanowili, prócz rzeźbiarzy zagranicznych, architektki, pp. Mikołaj Tołwiński i Józef Dziekoński, oraz malarze: pp. Miłoz Kotarbiński i Maryan Wawrzeńcki. Z ramienia komitetu stanęli i prezes ordynat hr. Zamoyski i p. Maryan Gawale-

wicz w zastępstwie chorego dra Dobrzyckiego, wiceprezesa.

W obradach sądu i w pracach przygotowawczych uczestniczyli nadto dwaj zastępcy: mecenas L. Méyet i niżej podpisany, ponieważ jednak jury było według programu w komplecie, zastępcy w głosowaniu udziału nie brali.

Plon konkursowy przedstawia się niezwykle świetnie. Przybyli z zagranicy rzeźbiarze nie taili, że przeszedł on ich oczekiwania, że w długiej swej praktyce artystycznej nie spotykali przy podobnych występach tak wielkiej jednocześnie ilości prac podniosłych tak ogólnie wysokiego poziomu artystycznego. Istotnie, skoro w wielkiej sali muzealnej pałacu sztuki na wysokich podstawach stanął ten las gipsów, wrażenie było wprost zdumiewające. Niektóre z projektów nadeślanych od razu rzucały się w oczy śmiałością pomysłów i bardzo wysoką wartością, jako utwory sztuki rzeźbiarskiej. Nie wszystkie, oczywiście, odpowiadały celowi swemu: rzeźbie monumentalnej, rzeźbie, mającej stanowić pomnik największego, genialnego kompozytora naszego.

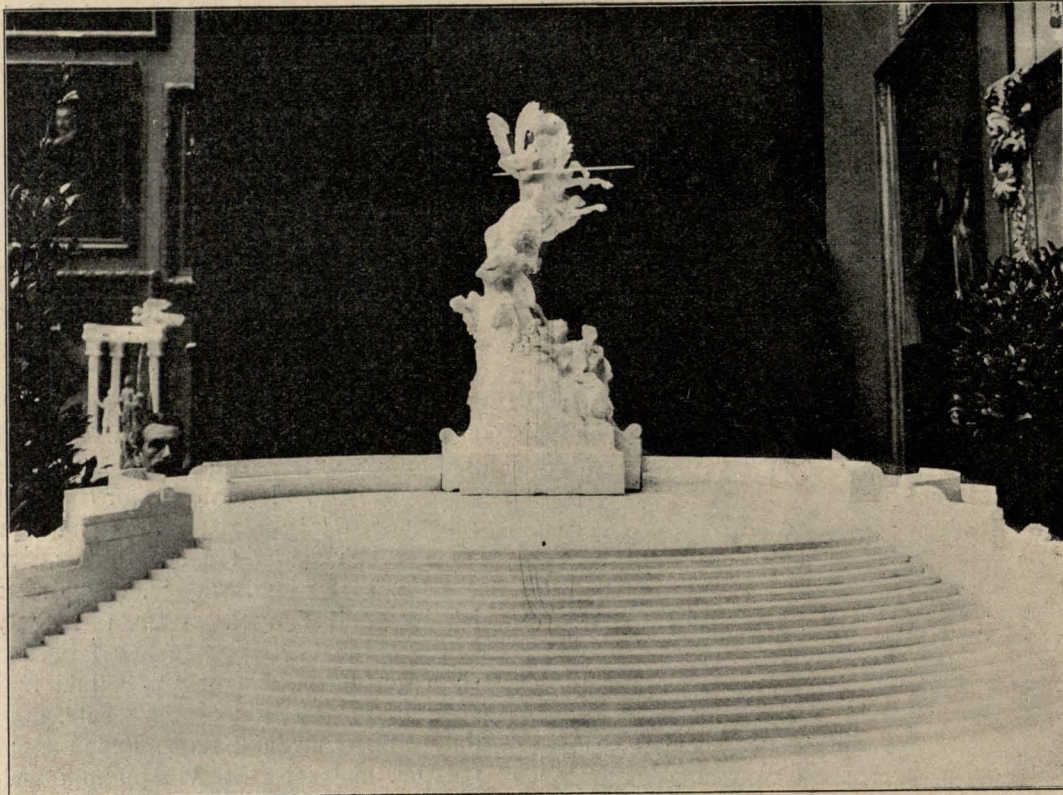
Zadanie istotnie było niezmiernie trudne.

Przedewszystkiem chodziło tu o wyraz plastyczny, konkretny przedstawiciela sztuki najbardziej w tej mierze nieuchwytny i abstrakcyjnej, jaką jest muzyka. Chodziło dalej o Chopina, o twórcę najbardziej ze wszystkich muzyków uduchowionego, rozlewnego, co trzeba było zakłąć w twardą bryłę bronzu, lub granitu. Poza tem właściwym instrumentem Chopina był fortepian, mebel, z natury swych kształtów sztywnych, nader niewdzięczny



Projekt konkursowy pomnika Chopina, nagroda III

Zygmunt Otto z Warszawy



Projekt drugi pomnika Chopina, Zygmunta Otto (zaszczytna wzmianka).

do rozwinięcia w koncepcji rzeźbiarskiej. To też nieszczęsny ten fortepian większości artystów narzucał się, jako konieczny, nieodzowny emblemat twórczości genialnego pianisty.

Wielu starało się uniknąć tego szkopału przez symboliczne zaznaczenie tylko samej klawiatury, inni szukali instrumentów bardziej dekoracyjnych, wyrażając muzykę przez symbole uznane w formie lir, harf, lutni, fletów lub upersyfikowanie jej w postaciach muz i geniuszów skrzydlatych, inni jeszcze bardziej odległych próbowali sugestyjnie przez zestawienia rytmicznie sfalowanych ciał ludzkich, które to rytmiką swoją przypomnieć miały melodie odpowiednich utworów autora marsza pogrzebowego, symfonii, polonezów i mazurków. Byli jednak i tacy, którzy stawiali przy pomniku mniej lub bardziej wystylizowany fortepian, a nawet najprostsze, najzupełniej współczesne pianino, którego formy proste lepiej przystosowują się do prostych architektonicznych płaszczyzn cokółu.

Najtrudniejszą jednak sprawą była postać samego Chopin'a, postać natchnionego muzyka - poety. Poszukiwania jak najzupełniejszej ekspresji w tym kierunku dały w wielu wypadkach często wprost nieoczekiwane rezultaty. Nie mówiąc już o rzeczach zupełnie nieudolnych, które też w pierwszej zaraz selekcji uległy wyłączeniu, nawet w projektach, skądinąd stojących na bardzo wysokim poziomie, w projektach, które wybitnie zwracają na siebie uwagę doskonałą kompozycją, dobrem rozwiązaniem zadań monumentalności i zawodowym opanowaniem przedmiotu, figura wielkiego kompozytora nie mogła zadowolić wymagań. Bywa tam Chopin bolejącym męczennikiem, mężem stanu, filozofem, stylowym, jakby z romansu mussetowskiego wyjętym wykintnisiem, tancerzem nawet, lub aktorem, ale nie ma tych cech, któreby wskazywały, że w jego duszy dzwonią melodie naszych pól i lasów, że zasłuchiwała się ona w poszumy drzew polskich i polską z nich tworzy muzykę.

Tak właśnie przedstawiał się Chopin w projekcie, oznaczonym numerem 57. Pod wierzbą, miotaną wichrami, siedzi on, jakby w podnieceniu natchnienia szczególniejszego,

a zarazem z niewypowiedzianem skupieniem wsłuchuje się w jakieś dalekie odgłosy. Projekt ten, niesłychanie śmiały i prosty, o wielkich, szerokich płaszczyznach, o jednolitym, bez wszelkich zbytecznych emblematów i akcesoryów wyrazie, bez wszelkiej drobiazgowości dekoracyjnej, narzuca się z nieodpartą siłą i stanowczością, to też z całą stanowczością i jednogłośnie, bez wahań i zastrzeżeń przyznano mu nagrodę pieniężną, oraz zalecono do wykonania.

Był to właśnie projekt Wacława Szymanowskiego. Z załączonej tu podobizny łatwo osądzić można, jak potężnie wyglądać będzie ta prosta, a tak wymowna rzeźba, wykonana we właściwych rozmiarach. Wierzyć można w to tem bardziej, że Szymanowski złożył już

wielokrotne świadectwo swego talentu i uzdolnień. Ustawiony na placu obszernym, nad basenem, który z posągiem związał architektonicznie p. Mączyński, pomnik taki zaimponować musi olbrzymością, oryginalnością i powagą.

Drugą nagrodę otrzymał p. Władysław Marcinkowski, mieszkający obecnie w Berlinie, za projekt, oznaczony Nr. 2. Model jego wyróżnia się nadzwyczaj szlachetnym rozwinięciem podstawy architektonicznej w formie schodów owalnych. Na schodach tych, wprost na stylobacie stoją dwie piękne figury niewieście, które pociągają szczególniejszym sentymentem. Rzecz cała, utrzymana w typowym spokoju, posiada niewątpliwie wysoką wartość estetyczną, niestety jednak, postać Chopin'a, nieco sztywna i zimna, nie odpowiada pojęciom o wielkim kompozytorze polskim. Jest on tu raczej podobny do poważnego profesora, niż do natchnionego muzyka.

Trzecią nagrodę przyznano projektowi pod Nr. 31. Autorem jego, jak się okazało, jest Zygmunt Otto, artysta-rzeźbiarz, znany już zaszczytnie w Warszawie z licznych prac pomnikowych i dekoracyjnych. I model nagrodzony odznacza się przede wszystkim nadzwyczajną dekoracyjnością. Na cokół, o bogato rozwiniętej i istotnie z nadzwyczajną umiejętnością związanej z całością architektoniczną rzeźbie, stoi Chopin w postawie mniej szczęśliwie obmyślanej. Jest on tu, jak na muzyka-poetę, może trochę za swobodny, może zbyt lekki.

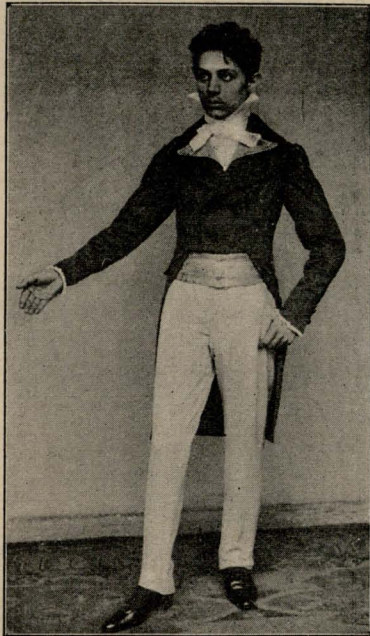
Cokół jednak taki, wykuty w granicie, mógłby być naprawdę arcydziełem, a że p. Otto potrafi podobne rzeczy robić nawet w tak twardym materiale, świadczą choćby jego dekoracje na domu Towarzystwa gazowego przy ulicy Erywańskiej.

Niesłychanie bogatą, pełną fantazyi i lotności kompozycją, jest projekt, oznaczony nr. 32, który też jury zakwalifikowało do zakupu. Nad skałą, na której siedzi Chopin, nawiasem mówiąc, w ogólnej swej sylwecie mo-

„DZIADY” NA SCENIE TEATRU MAŁEGO.



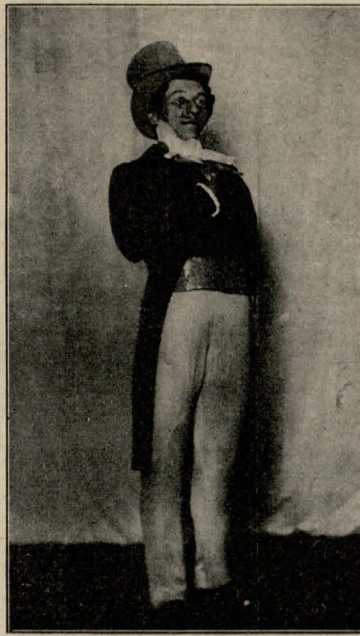
„Dziady”, ów wiekopomny poemat dramatyczny Mickiewicza, jedyne, wedle słów własnych poety, dzieło jego godne czytania, wystawił, z wielkim nakładem pracy i gorącym pietyzmem, „Teatr Mały” M. Gawalewicz w dniu 16 b. m. Zanim specjalny nasz sprawozdawca zda sprawę z tego niepospolitego widowiska, śpieszmy zaznaczyć, że jest ono dowodem wysokich aspiracji literackich tej sceny i długo jeszcze stanowić będzie prawdziwą atrakcją dla szerokich tłumów publiczności, a zwłaszcza młodzieży.



Dyrektor „Momusa” A. Schifman.



M. Mrozińska.



L. Trojanowski.



J. Leśniewski (w roli A. Żółkowskiego).

że najpiękniejszy z całego konkursu, wzbil się, niby tuman, splot ciał, skłębionych w szalonym wirze. Nad tem wszystkim, na wspiętym koniu, prze z furą husarz skrzydlaty z kopią, schyloną do ataku. Całość ma pęd szalony, ruch, gwałtowność i może właśnie z tego powodu wydała się sędziom niezbyt monumentalną.

Bardzo estetycznie przedstawia się przeznaczony również do zakupu projekt Nr. 61. Zwłaszcza grupa postaci symbolicznych, prowadzona przez skrzydlatego geniusza, a owijająca wytworny, elegancki kokół, jest niezmiernie płynna i odznacza się wielu pierwszorzędnymi zaletami rzeźbiarskimi.

Nr. 45 posiada zwłaszcza jedną figurę o bardzo miłym, istotnie niepospolitym sentymencie.

T. JAROSZYŃSKI.

ALOIZEGO GONZAGI ŻÓŁKOWSKIEGO

O „Starej Warszawie”

List do „Momusa”.

Mój mospaniel! z wyspy onej, zwanej „Wyspa szczęśliwości”, w rym przybraną nieuczony, epistołę ślę Waszmości. Aplauduję sercem szczerem momusową cną zabawę, bom jest przecie koneserem i tę starą znam Warszawę.

Rzecz to, panie, była *arte*, jak donoszą mi tu z ziemi: starej księgi starą kartę, lśniącą barwy tęczowemi, otworzyliście — i sztuki czar umarły wskrzesił świat, i ujrzały go prawnuki w sentymencie dawnych lat.

Lat minionych sentymencie, zapomnianych piosnek głoski i gitary to ujęcie, z którą nuci imć Krassowski, znów wracacie! Hej, mospaniel! Chyl wspomnienia pełną czarą: słyhać piosnkę o ułanie, Kongresówki piosnkę starą.

Do kaduka! cóż za dziwy! więcej słowa znanem echem; swój konterfekt widzę żywy z brzuszkiem, z czubem i z uśmiechem. Coś tam w oczach... hm... to łezki... coś za gardło ściska znów... Jak mówicie? Imć Leśniewski?... Mówże Waćpan! dalej mów!...

Ekiwoki, kalambury wciąż puszczane, mimo strachu, to z „Mo-

musa”, to z „Potpourri”, za tom siedział na odwachu! Nic się, nic się nie zmieniło, zegar wieków lata bije, i jest wszystko tak, jak było: żyje duch—i serce żyje!

Ach, milutka! ach, nadobna! jakie ustka i oczęta! a do jednej tak podobna, jak z portretu ram wycięta! I wionęło wiosną młodą, a tam w sercu płacze żal... ach, za wdzięczną jej urodą, jak za bajką, biegłbym w dal!...

I tragiczny ton ballady budzi echa romantyczne: pędzi nocą upiór blady, z grobu kwitną lilie śliczne... z innej nuty znów się wszczyzna... dzwoń, piosenko! Mospanowie! dajcie kielich pełny wina! Za Mrozińskiej piję zdrowie!

Oj dalibóg, pachnie kozą! Pachnie kozą bez ochyby! Prawie myślę, że mnie wiozą, gdzie to patrzył w świat z za szyby, gdzie za kratą z księcia łaski do księżycy wdychał lic... Hm! Gorecki! Hm! Morawski!... Nic się nie starzej! ni!...

A mówione to paradnie, wiwat, wiwat artyzm taki! Tak to idzie ładnie, składnie, że pękają Warszawiaki! Warszawiaki, niżli włoski, twardszy orzech!... któżby zgryzł!

Trojanowski i Pawłowski! Brawo! brawo! fora! bis!

O, piosenko! o, ty cudna! coś dźwięczała w mojej wiośni! Bywaj! bywaj! chwilo złudna! gdy to w piersiach serce rośnie! gdy u boku szabla dźwięczy, a pod tobą parska koń... śnie

rycerski z krwi i tęczy! W tej piosence dzwoń, ach, dzwoń!

O żołnierzu, o tułaczu, o tym starym legionście, co to idzie, pełny płaczu, przy jesiennym wichru świeście; w dali postać Napoliona, orzeł u cesarza stóp... a tam kędyś słońce kona... a tam kędyś... wielki grób...

Wraca młodość, wiara wraca, duch się w piersiach zrywa krewki, hufiec jezdnych świat ozłaca, szumią barwne chorągiewki, pół żołnierski śpiew, pół sielski, jakby żywe serce drga... pięknie nuci Imć Lubelski, Elertowicz pięknie gra.

I znów piosnka za piosnką uśmiech rzuca ci na twarz, moja pani, czy panienko, skąd ty takie minki znasz? Skąd uroczą filuterya i błysk psotny, co z ócz mknie? precz, obłudnych dusz pruderya! To poezją szczerą tchnie!

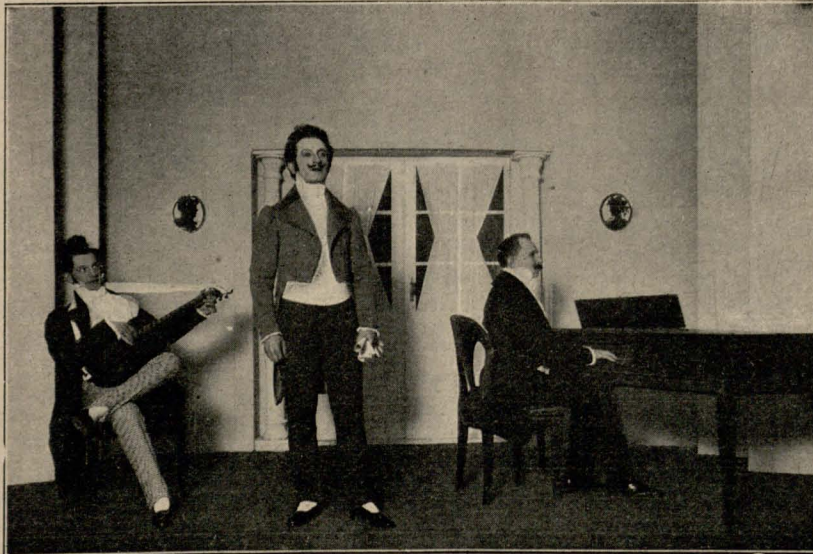
Twey prababki wizerunku, błyszni oczkiem, co aż pali, i nie odmów pocałunku staruszkowi, co cię chwali; nie miej tremy! próżna troska! muza wzięła cię pod straż! Jak się zowiesz? ach, Borowska! Masz, waćpanna, talent, masz!

Czy wskrzesz Teatr Narodowy? Czym ja znowu zszedł na świat? toć „Obiadek” grają owy, jak za dawnych moich lat! Kwitnie wspomnień niezabudka, gram, kolega ze mną—chwat! A Magdusia, ach, filutka! znów-bym jej buziaka skradł.

Więc, drużyno momusowa, szczęść ci, Boże, nućcie, grajcie, zanim rzeknę: bywaj zdrowa! ręce wszyscy mi podajcie! I najdroższej tej Warszawie, co tak mało dziś ma róż, ku otusze, ku zabawie, służ, Szifmanie, dzielnie służ.

A na końcu, jak fanfara, niech serdeczny okrzyk brzmi: żyj, Warszawo nasza stara! i Warszawo przyszłych dni!

Kontrasygnował A. O.



Scena muzyczna „Momusa”: Krassowski, Lubelski, Elertowicz.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał drugi roku bieżącego.



Grupa sędziów gminnych z ziemi płockiej, którzy stawali przed sądem w Płocku z powodu wprowadzenia języka polskiego do procedury. Po wysłuchaniu znakomitych mów obrońców mecenasów: Chrystowskiego, Dziewulskiego, Nowodworzkiego i Wróblewskiego, sąd skazał oskarżonych na nagane. Nazwiska uczestników grupy są następujące: 1) Chelmicki, 2) Boski, 3) Pydynkowski, 4) Bolestaw Płoski, 5) Ramlau, 6) Turski, 7) Ignacy Grabowski, 8) Konstanty Grabowski, 9) Maturczyński, 10) Imieniński i 11) Witowski. Fot. A. Grzywiński.

PORTRETY „NA DOBIE”



Prof. Juliusz Tenner ze Lwowa, znakomity recytator, którego występy w Warszawie cieszyły się dużym powodzeniem.



Artur Zawadzki, z powodu 25-go jubileuszu pracy scenicznej.

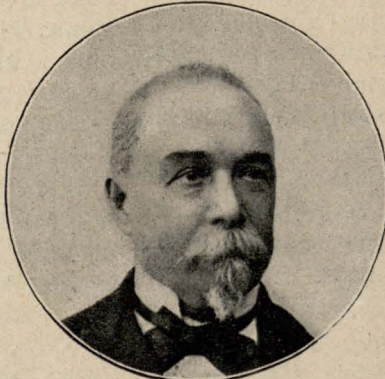
„Tygodnik” na Węgrzech.

W Nrze 221 *Gońca* p. Wł. Studnicki zamieścił korespondencję, w której wyczytaliśmy wiadomość, iż numer węgierski naszego pisma z r. z. „dobrze był znany na Węgrzech, i ważniejsze artykuły tego numeru, jak również wiersz Or-Ota „Marsz Rakocznego”, obiegły całą prasę węgierską”. Miło nam bardzo, że nasze dobre chęci zostały należycie zrozumiane przez naród, z którym wiążą oddawna Polaków nici sympatii wzajemnej i wspólnych ideałów.

ZMARLI.

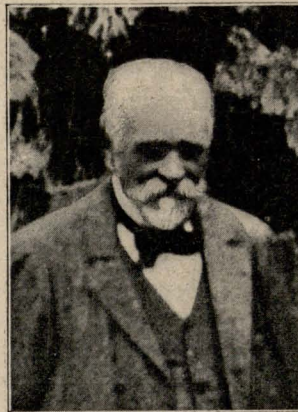
HENRYK IWANICKI, zmarł w Warszawie 29 kwietnia w wieku lat 84. Urodzony w Kielcach, po ukończeniu gimnazjum miejscowego w roku 1847 zaciągnął się, jako ochotnik, do wojska węgierskie-

go i w randze podoficera przeszedł do legionu polskiego gen. Bema. Po upadku powstania, już jako oficer, szukał schronienia w Turcji i wstąpił tu do wojska, pełnił służbę w różnych stronach i dosłużył się stopnia kapitana. Pod wpływem namowy sióstr miłosierdzia wystąpił z wojska tureckiego i udał się do Włoch, gdzie pracował na



kolei. Na wieść o wybuchu wojny wschodniej śpieszył znowu do legionu angielsko-włoskiego, przechodził potem ciężkie koleje w Egipcie i znowu rusza do powstania 1863 r. Jak wiadomo, oddział pułk. Miłkowskiego nie dostał się wcale do kraju, to też i ś. p. Iwanicki w powstaniu nie uczestniczył i powrócił do Egiptu. Znużyła go wreszcie tułaczka, i w roku 1871 powrócił na dobre do kraju i po odsiedzeniu rocznego więzienia

tysięcy; pomijamy szereg drobnych zapisów na sanatorium dla młodzieży w Zakopanem, na szpitalu i przytułku w Warszawie, na stypendya



w Brześciu i t. d. Zapisami tymi zdobył sobie ś. p. dr. Kobryniec wdzięczną i zacną pamięć wśród potomnych.

ALERED SZCZEPAŃSKI. Dnia 7 b. m. zmarł w Krakowie w 69 roku życia, głośny w swoim czasie dziennikarz-publicysta i trybun ludowy, ś. p. Alfred Szczepański. Ukończywszy studia gimnazjalne i uniwersyteckie w Krakowie, ś. p. Szczepański wziął żywy udział w ruchu narodo-

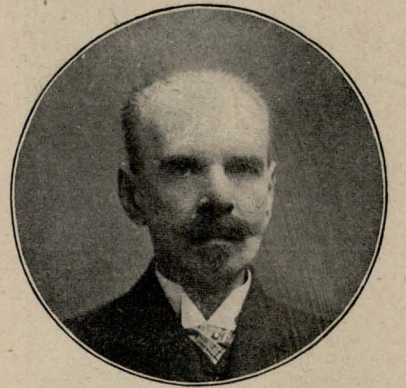


„ŻYWY POMNIK”. Po zamorowaniu namiestnika ś. p. hr. Andrzeja Potockiego powstała w galicyjskich sferach obywatelskich myśl uczczenia jego pamięci przez zakładanie burs dla ubogiej uczącej się młodzieży, które byłyby nazywane jego imieniem. Jedną z takich burs otwarto właśnie w Krakowie, w domu, na ten cel przez miasto darowanym. Rycina uasza przedstawia grupę wybitnych osobistości ze świata krakowskiego, które wzięły udział w poświęceniu tego żywego pomnika.

osiadł stale w Warszawie, gdzie różne zajmował stanowiska, ciesząc się wszędzie uznaniem za swój nieskazitelnym charakter. Cześć pamięci gorącego patrioty, jednego z ostatnich epigonów pięknej epoki romantycznej.

KAROL KOBRYNIEC, zmarł w Wysokim Litewskim d. 12 kwietnia r. b. Urodzony w 1833 r., po ukończeniu uniwersytetu w Moskwie zajmował się czas jakiś praktyką, poczem został naczelnym administratorem dóbr hr. Potockich, właścicieli Wysokiego Litewskiego, i dobra te doprowadził do wielkiego rozwoju. W testamencie swoim poczynił bardzo znaczne zapisy na cele publiczne: Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. Józefa Mirowskiego otrzymała z tego źródła 50 tysięcy rub., na stypendya dla młodzieży przeznaczył wybitny filantrop 60 tysięcy rub., na sanatorium w Rudce — 26

wym w r. 1863, poczem, przesiadawszy czas jakiś w więzieniu w Ołomuńcu, poświęcił się publicystyce, wydając najpierw tygodnik *Kalimę*, a potem redagując do spółki z drem Gumpłowiczem radykalno-demokratyczny *Kraj*. Powołany przez hr. Wodzickiego na stanowisko sekretarza nowo-



wówczas założonego „Laender banku”, Szczepański przeniósł się do Wiednia, gdzie przez szereg lat przebywał, nie przestając pracować na niwie dziennikarskiej. Ostatnie lata przepędził zmarły częścią w Zakopanem, częścią w Krakowie. Ś. p. Szczepański pozostawił syna Ludwika, znanego literata i redaktora dziennika krakowskiego *Nowiny*.

RES SACRA MISER 26 MAJA „DZIEŃ UBOGICH”
Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności uprasza mieszkańców miasta Warszawy o składanie w tym dniu ofiar na rzecz starców, sierot i kalek.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. „ENGLISH CLOTHING HOUSE”.

MEBLE STYLowe M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że WODY MINERALNE SZTUCZNE WYROBU WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu. Zarząd.

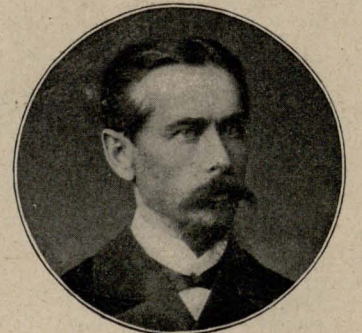
WARZAWIANKĘ POLECA DYSTYLARNIA PAROWA F. JANKOWSKIEGO.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO
I UBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36, p. zeszała na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie

NEKROLOGIA.

Ubył nam jeden z nielicznych uczestników i ofiar wypadków z roku 1863, zmarł bowiem JÓZEF GAWROŃSKI, urodzony 1836 roku, syn Marcina Gawrońskiego, urzędnika b. Mennicy warszawskiej. Ś. p. Józef, po ukończeniu gimnazjum w Warszawie, wstąpił na urzędowanie do b. Komisji Sprawiedliwości i w roku 1863 został uwieczony w cytadeli warszawskiej, gdzie po przebyciu



roku, z wyroku sądu wojennego, wysłany został z pozbawieniem wszystkich praw do ciężkich robót w Usoli, gubernii irkuckiej, gdzie przebywał prawie przez 30 lat. Po uzyskaniu ułaskawienia powrócił do kraju 1893 roku. Potrzebując pracy zarobkowej, przy poparciu życzliwych osób, otrzymał posadę w majątku barona Kronenberga, gdzie w charakterze głównego buchaltera do dnia śmierci przebywał; zwłoki jego, przywiezione do Warszawy, spoczęły w grobie rodzinnym. Niech mu będzie lekka ziemia rodzinna.

HENRYK GALLE:

Powieści kobiece.

Sprawa kobieca, zagadnienie stosunku kobiety do rodziny, otoczenia, narodu, jej celów i zadań w życiu doczesnym, kwestya wychowania dziewcząt, wychowania, któreby uczyniło je silnemi na burze żywota, nieskalanemi wśród bagna dni współczesnych, nie od dziś zajmuje umysły i pióra naszych beletrystów.

Chwila narodzin naszej powieści społecznej była zarazem momentem wstąpienia kobiet piszących do świątynicy naszej literatury, oraz



Emma Jeleńska.

zjawienia się w naszej beletrystyce tego, co dzisiaj nazywamy „kwestyą kobiecą”. Inaczej ją nasze prababki pojmowały w tych czasach, kiedy Jaraczewska tworzyła „powieść narodową”, „Zofię i Emilię”,

przeciwstawiając w niej zdrowej, pracowitej, dzielnej, wychowanej na wsi dziewczynie egzaltowaną pannę wielkiego świata, kiedy Hofmanowa pisała listy do Amelii o obowiązkach kobiet, a w „Karolinie” i „Krystynie” kreśliła postacie niewiast wzorowych, Bogu i ludziom miłych.

Minęło pokolenie, nadeszły czasy „entuzjastek”, którym nie wystarczało już ognisko domowe, a najwięcej z nich utalentowana, Żmichowska, malowała, zarówno w „Książce pamiątek”, jak i w „Białej Róży”, kobiety wyższe duchem, o subtelnych, wytwornych duszach, kobiety, których indywidualność nie mieści się już w ramach nakazów średniowiecznych: *domi mansit, lanam fecit*.

W dobie pozytywizmu, która jest jednocześnie epoką wielkich przemian ekonomiczno-społecznych w naszym narodzie, sprawa tak zwanej emancypacji kobiet staje się coraz bardziej palącą. I nie dziw: nie tylko bowiem wśród kobiet budzą się nowe dążności, otwierają przed ich oczami nowe widnokręgi myśli i uczuć, ale i samą siłą rzeczy, z przeniesieniem punktu ciężkości życia narodowego ze wsi do miast, z ruiną majątkową wielu rodzin ziemiańskich, kobiety polskie znalazły się w smutnej konieczności szukania zarobku i środków do życia wśród obcych, a to zmuszało do stykania się z życiem, jego kolcami i brudem, zmieniając zarazem nie do poznania dawny typ panienci z białego dworku, skromnej, cnotliwej i nie nazbyt uczoney.

A te, co zostały na wsi, nie mogły już zadowolić się krzątaniem około spiżarni, kurnika i czeladniej, trzeba było nieraz uchwycić w swe niedoświadczone dłonie zarząd całym majątkiem, by utrzymać w garści ojcowiznę, nadwężoną lekkomyślnością ojców i mężów, a także złowróżbnymi skutkami burzy dziejowej.

Nasza powieść społeczna po roku 1863 względem ruchu kobiecego zajmuje, w rozlicznych swoich przedstawicielach, stanowisko mniej więcej jednakowe: stroniąc ostrożnie i starannie od krańcowości „feminizmu”, wypełnia jednomyślnie różnymi rysami typ kobiety-człowieka, kobiety-obywatela, uświado-

mionej co do właściwych sobie zadań i celów życia.

„Kobieta przedewszystkiem jest i musi być matką”, te słowa niezapomnianych „Emancypantek” Prusa, w których znalazło się całe bogactwo typów kobiecych, zarówno dodatnich (Madzia, pani Lattner), jak i ujemnych (Klara Howard, Ada Solska), są jakby osią, dokoła których wirują, po większym lub mniejszym promieniu, myśli i poglądy naszych beletrystów, od Kraszewskiego („Szalona”), Jeża („Emancypowana”), Sienkiewicza („Rodzina Połanieckich”), Gomulickiego („Wyzwolona”), a przedewszystkiem Orzeszkowej, która rozpoczęła swą działalność pisarską od powieści „kobiecych” („Pamiętnik Wacławy”, „Marta”), która przyczyniła się najbardziej z polskich kobiet piszących do zbudzenia umysłów niewieścich, wskazując im zarówno w swych rozprawach publicystycznych, jak i powieściach („Dwa bieguny”, „Australczyk” i inne), prawą drogę życia, drogę obowiązków narodowych.

Stojąca na przeciwnym pod wielu względami biegunie Konopnicka, w słynnym wierszu „Do kobiety” podobne wygłasza hasła. A za temi dwiema przewodniczkami poszły inne: i Urbanowska w „Księżniczce”, i Rodziewiczówna w licznych swoich powieściach, w których za Orzeszkową nawołuje kobiety polskie do pracy na roli ojczystej, i Ludwika Godlewska (Exterus), pragnąca podnieść lalki salonowe do godności człowieka („Kato”, „Dobrane pary”, „Feministka”), i dziesiątki innych, niższych talentem, ale z równym bojującym zapalem o współudział dla płci swojej w dobrach narodu.

Wśród nich zdobyła sobie popularne imię od lat 10 laureatka konkursu powieściowego *Kuryera Codziennego* w r. 1897, Emma Jeleńska.

Za tą pierwszą nagrodzoną powieścią, p. t. „Panienska”, wcale sympatyczną, o zacnej myśli przewodniej i pięknych charakterach, poszły inne: „Z miłości”, „Dwór w Haliniszkach”, „Obrączka”. Ale nowych myśli i przeżyć znalazło się w nich niewiele.

Dopiero ostatnie wypadki historyczne powołały autorkę „Panienski” do utworu, którego pomysł i rozwinięcie wskazują, że Jeleńska w nowych objawach życia społecznego orientuje się szybko.

Fundamentem tej nowej powieści, p. t. „*Kobieto, puchu marny*”...*) jest przeciwstawienie dwu sprzecznych typów kobiecych: gorącej patriotki, gorliwej działaczki społecznej, opiekunki ludu, wybornej administratorki majątku, wykształconej fachowo, zabierającej głos na posiedzeniach towarzystw rolniczych Mańki, prawdziwej kobiety-człowieka, ale pozbawionej wabności kobiecej, i—Loli, takiej kochanej, miłutkiej Loli, pustogłowej laleczki salonowej, czczej, kapryśnej, lekkomyślnej, całą duszą spragnionej zabaw, flirtu, pustoty, szychu i kinkietów balowych, do niczego nie zdolnej, ni do obowiązków społecznych, ni rodzinnych, ale—takiej przyklepnej, rozkosznej kotezki, z pieprzykiem zmysłowości i dlatego tak pociągającej mężczyzn nieprzepartym urokiem *des ewig Weiblichen*.

Pomiędzy niemi mężczyzna, dobry syn ojczyzny, swych obowiązków narodowych świadom, niestrudzony oracz na niwie społecznej i politycznej (jest posłem do pierwszej Dumy), słowem, człowiek dzielny, co się zowie. Za którą z tych dwu pójdzie, z którą losy swe zwiąże? Niestety, jak Wokulski w „Lalce”, jak bohaterowie „Dobrych par” Exterusa,

*) Emma Jeleńska. *Kobieto, puchu marny*, powieść. Warszawa, (Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Sp.).

złączy się nie z Mańką, która podzieliłaby z nim wszystkie trudy, nadzieje i zawody, ale z Lolą—i nie tylko, że swe prace społeczne zaniedba, ale i skończy śmiercią samobójczą, przekonawszy się, że ona, wybrana przez niego anielska istota, nie jest godna nosić jego nazwiska.

W tych dwu typach, a także kilku podrzędnych postaciach i sytuacjach („zwaryowana” Karolcia, Tala Skrzyszewska, wiec w sprawie kobiecej) zawiera się myśl publicystyczna powieści.

Inną stronę sprawy kobiecej poruszają dwie powieści p. Eugenii Żmijewskiej, stanowiące ciąg jeden: „*Płomyk, z pamiętnika instytucji*” i „*Dola*”...*) Chodzi tu o wychowanie dziewcząt, które, przy dzisiejszych pojęciach i przesądach, wchodzą często w życie nie przygotowane, nieświadome tych niebezpieczeństw, jakie na nie ze wszech stron czyhają.

Adela Żalińska, zwana Dola, a także, z powodu swego temperamentu, Płomykiem, jest córką zamożnej, niegdyś rodziny obywatelskiej z Ukrainy. Jest starannie, jak na swoją sferę, kształcona: chodziła do Instytutu Maryjskiego (doskonałych kilkadziesiąt stron o stosunkach, tam panujących, prawdziwa chluba dla autorki!), włada czterema czy pięcioma językami, uczyła się przeróżnych *logii*, ma nawet talen-cik literacki...

Cóż z tego! Cały ten bagaż nie starczy bynajmniej na drogę życia, kiedy rodzice stracą majątek, a Dola będzie musiała szukać zarobku w obcych domach. Gorzki chleb nauczycielski! Tylko Sewer w swej nieprzebranej słoneczności mógł stworzyć sielankę z życia nauczycielki ludowej (w „*Legendzie*”). O wiele bliższy jest prawdy Żeromski w tragicznych, choć bohaterkich typach Stasi („*Siłaczka*”) i Joasi („*Ludzie bezdomni*”).

Ale nie dość na tem. Podstawą myślową „*Doli*” jest, jak słusznie mówi Orzeszkowa w przedmowie do tej powieści, „głęboka i bezgraniczna niemoralność dzisiejszego stosunku mężczyzny do kobiety”. Tak i Płomyk, piękny, a wiecznie płonący, to kasek łaskomy dla pożądanliwych samców.

To też rój ich, młodych i starych, wciąż ją otacza, a ona za jedyną broń ma—swą niewinność, nieświadomość, niezaradność. I kto wie, co by się z nią stało, gdyby nie spotkała na swej drodze zacnego człowieka, który odtąd na życie całe stał się jej puklerzem, oparciem, doradcą i opiekunem.

Takie są losy Doli. Tak zobrazowała w nich Żmijewska, wedle słów Orzeszkowej, „całą bezmyślność i bezcelowość, beładność sposobu wychowywania dziewcząt w ścianach domowych”. Jest więc i satyra, i przestroga...

Wiele, wiele jeszcze zapewne czasu i też kobiecych spłynie, zanim spełni się wizya prorocza poety w „*Przedświcie*”:

Przemieniony ten planeta
Już zapomniał, co kobieta,
Wie—co bracia i siostrzyce...

*) Eugenia Żmijewska. *Płomyk, z pamiętnika instytucji*, powieść. *Dola*, powieść (Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, Gebethner i Sp.).



Eugenia Żmijewska.



Pozostawała znowu sama.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:**U N I A**

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 21)

— Wspomniała mi pani o obciążeniu długami Auszry. Może dla ustalenia tych cyfr i wartości przysłać pani adwokata?

— Niech pan mi przyśle adwokata, z listem—zawołała Krystyna, uderzając o stół ręką.

— Tak... ale nie mamy z panem Chmarą sprawy sądowej—ani jeszcze pomagać nie myślimy—więc pod jakim pozorem adwokat?... Przyślę pami technika leśnego, to lepiej!

— Niech pan przysyła technika!

— Cóż dalej?—pytał Kazimierz właśnie sam siebie, cały zatopiony w wyszukiwaniu stosunków choćby handlowych między Koroną a Litwą.

— Niech pan myśli o nas... ciągle.

— To przede wszystkim i nade wszystko.

— I napisze pan do mnie zaraz, co się dzieje na szerszym świecie.

— Napiszę zaraz, choćby jutro, tylko że zatrzymam się kilka dni w Wilnie. Jeżeli to można nazwać szerszym światem...

— Proszę pisać skądkolwiek. Pan sam jest szerszym światem.

W półmroku sali dostrzegł jednak Kazimierz po zmianie twarzy Krystyny, że się zarumieniła. Chwycił z rozkoszą ten rumieniec dla siebie.

— Wykonam rozkaz sumiennie. A pani mnie odpisze?

— Dokąd?

— Do Wilna, do hotelu ***. Podam adres do Warszawy i do Ziembowa, majątku mego ojca. Wymienię to wszystko dokładnie w liście.

— Niech pan zaraz powie. Ma pan ołówki?

Kazimierz dobył z kieszeni kartę i napisał na niej wszystkie trzy adresy. Krystyna wzięła tę kartę i przyglądała się jej, jak nowemu klejnotowi. Ozwała się potem, dorabiając teoryę do układu, już dokonanego:

— Bo my przecie nie jesteśmy obcymi sobie ludźmi?

— Niewątpliwie, pani moja. Tak postanawiamy, prawda? Jesteśmy wolni, zgodni...

— I równi—podchwyciła Krystyna.— Będzie coś w rodzaju hasła wielkiej Rewolucji.

— Albo Unii Litwy z Koroną.

— A prawda! Więc tak jest doskonale. Ale ja nie będę pisała tylko o polityce.

— A, broń Boże!

— Będę pisała o wszystkim, tak jak rozmawialiśmy.

— Proszę o to najpokorniej. I dla siebie proszę o równe prawa.

— Według przyjętego hasła.

Ustaliwszy to wszystko dokumentnie, spojrzeli naraz oboje na zegar, który szedł

dzisiaj bardzo śpiesznie. Krystyna, jakby zbierała poły nie istniejącego płaszcza, otuliła się rękoma, przyciągając tylko krótkie rękawy drżącymi palcami.

— Zimno w tej sali.—Jak daleko stąd do rodziców pana, do Ziembowa?

— Przez Wilno, Warszawę... będzie ze dwadzieścia cztery godzin jazdy.

— Tak daleko?!

— No, Polska szeroka...

Wyjątkowo ten rozmiar nie ucieszył Krystyny w tej chwili.

— Przecie pani zna zapewne Królestwo?

— Byłam tylko parę razy w Warszawie, przejeżdżając zagranicę.

— Dużo pani podróżowała?

— Od śmierci ojca zmuszona byłam... Nie lubię cudzych krajów. Ale, panie! zaraz ta godzina, a my tak mało powiedzieliśmy sobie!

— Jam bardzo wiele usłyszał, a nawet wszystko cenne i dobre, czegom tu doznał, pochodzi od pani.

— A wszystko marne i nienawistne pozostaje około mnie na miejscu. Dobrze panu, który wyjeżdża.

— Tak, pani—odrzekł Kazimierz silnie—dobrze mi jest, bo wierzę w nasze wspólne cele.

— I ja wierzę... przez pana. Wie pan

że dotychczas żałowałam, że nie jestem mężczyzną.

— A teraz?

— Teraz mniej... bo możebyśmy inaczej nie zawarli naszego przymierza.

Zegar znaczył pięć minut po trzeciej. Od kilku już chwil sнуło się po ciemnej jadalni paru służących, jak natrętne mary, które on i ona odpychali instynktem, zniżając głos i przybierając pozory obojętne. Krystyna spoglądała na zegar nienawistnie, tem bardziej, że sterczał przy nim sztywny Onufer, ulubiony pokojowiec Chmary. Pochyliła się do Kazimierza i rzekła szeptem:

— Co do listów niech pan poczeka, aż ja napiszę i podam pewny adres.

— Tak dalece pani tu strzeżę?

— Po nich wszystkiego można się spodziewać. Choćby po tym.—

Wskazała oczyma na Onufra.

Wszystko było gotowe do podróży; już i kuferek Rokszyckiego wyniesiono do podjazdu, przed którym czekały konie. Powstali oboje od stołu. Ociągali się nieco za służbą, która podążyła do przedpokoju.

— Pani moja!—rzekł Kazimierz, całując obie ręce Krystyny—dobre dni tu przeżyłem, nabrałem w serce siły i nadziei na przyszłość, dzięki pani...

Krystyna nie puszczała jego dłoni. Mówiła mu prosto w oczy. Słowa przepływały przez twarz jej, niby znękaną bladym upałem, przez twarz jego skupioną, niezawodną, męską.

— Ja panu także dziękuję... serdecznie... że pan jest dobry... że mówił pan ze mną, jak z blizkim człowiekiem... że mogę znowu wierzyć w uczciwość, w sumienie...

Niedostateczność wyznań oniemiła ich.

— Odprowadzę pana do powozu—

Noc była jeszcze, tylko wierzchnie zarysy drzew odcinały się już, niby połamanym brzegiem czarnego ładu, od górnego morza ciemności bledszej, w którą wstępowała nadzieja rozświetlenia. Wietrzyk zaciął mrozem.

Krystyna wpatrzyła się w podwoję, przeznaczoną dla Kazimierza, podczas gdy służba przytwierdzała nad tylnymi kołami kuferek za pomocą sznurów.

— Dlaczegoż to nie zaprzęgliście krytego powozu, ale tarantas?

Nie zaraz nastąpiła odpowiedź. Woźnica po namyśle dopiero odpowiedział wy-czerpująco:

— Graf rozporządził tarantas. Wiadomo, nasz graf skóry żałuje.

— Woli skórę swego powozu, niż cudzą skórę gościa—szepnęła Krystyna do Kazimierza. Niech pan mu i tego nie zapomni.

— Wolę i ja, że Chmara jest tak doskonały w swym gatunku—odrzekł Kazimierz.—Tu przynajmniej nie mam wątpliwości, z kim trzymać. Tu mi jasno.

Krystyna rzekła naraz gwałtownie, kłamiąc jawnie oczyma słowem:

— Niech pan już jedzie!...

Kazimierz wskoczył lekko na bryczkę i z odkrytą, odwróconą do drzwi pałacu głową oddalał się szybko w noc. Zaraz i turkot ucichł.

Krystyna poszła do swego pokoju, wy-

prostowana, z oczyma groźnie pałającymi, jakby wyzywając do walki ludzi i mury, pośród których pozostawała znowu sama. Dopiero gdy weszła do ciepłej sypialni, odrzuciła zamachem firankę od okna, zatopiła spojrzenie w ciemnym parku i zapłakała gorąco. Spływała ze łzami nienawiści, kołił się ból przeszłych zawodów, wstępowała w oczy jasność wiary w dzień nowy.

— Bądź wielki, jasny, silny!—mówiła głośno do rozstępujących się na niebie ciemności, jakby stamtąd miał powrócić On—razem ze słońcem.

XIII.

Ucichło w Rarogach. Wyjechali ostatni uczestnicy zjazdu. Tylko księżna Zasławska, pozwoliwszy synom zabrać się z Hylzenem do zapolowania w jego dobrach, pozostała jeszcze dzień jeden, na usilne prośby Chmary. Pan Eustachy miał z księżną osobliwe przymierze, bynajmniej nie romantyczne, owszem, oparte na mocnej podstawie pokrewieństwa przekonani i interesów. Dziś zaś, oprócz niektórych rachunków z powodu opieki nad małoletnimi, mieli z sobą specjalną naradę, która ich zaprowadziła o południu do pokoju Krystyny.

Zastali ją w stroju porannym, z rozpuszczonymi włosami, rysującą pilnie w albumie.—

— Jak się masz, Krysiu—rzekła księżna.—Cóż to rysujesz? Las?

— Las.

— Bardzo ładnie... *la solitude*...

I Chmara pochylił się nad albumem, a raczej nad rozpuszczonymi włosami rysowniczką, tchnącymi świeżością bujnej, młodej rośliny. Rozmowa o sztuce na tem się skończyła.

— Śliczna pogoda, a ty w domu siedzisz, Krysiu—zawróciła księżna do spraw bieżących.

— Wyjdę po południu do lasu.

— Znowu do lasu? Ależ zdziejejesz zupełnie, moja droga! Każdy człowiek bardziej zajmujący, niż sosna.

— Mieliśmy przecie tymi dniami dużo towarzystwa.

— Ech! zjazd rolniczy!... Przepraszam, panie Eustachy; przecie naturalne, że w takim zebraniu nawet *les plus brillants*, jak pan, gasną dla życia salonowego... Zabierz się ze mną, Krysiu; będzie u nas pojutrze trochę gości: Hylzen, młody Kmita...

— Dziękuję księżnej; mam tu robotę.

— Cóż ty robisz, naprzykład?

— Czytam, rysuję... mam i inne zajęcia.

— I tam będziesz mogła czytać... całego dnia ci nie zabierzemy.

— Dziękuję bardzo—nie mogę.

Uśmiechała się, dając nurka głową i szyją, odmawiała uprzejmie, ale nieodwołalnie. Aż księżna zastrzygła powiekami, co czyniła zwykle, gdy kto przeciwil się jej woli, a Chmara odezwał się dobrotliwie:

— Krystyna jest domatorką, dom nasz lubi—czuje zapewne, jak my ją tu cenimy.

Przerwał wobec nagłego spojrzenia Krystyny, tak wymownego, że wołał nie dopytać się do głębi jego znaczenia. Księżna

Katarzyna mówiła dalej, jakgdyby nic nie dostrzegła:

— Rozumiem, że dom wasz lubi, tylko teraz będzie pusty. Przecie pan wyjeżdża do Petersburga? Możebyś z nim pojechała, Krysiu? I ja tam wkrótce będę.

— Do Petersburga?!—rzekła zdziwiona Krystyna—nigdy tam nie byłam.

— Właśnie dlatego wartoby poznać. Nie mówiąc już o towarzystwie, mogłabyś zobaczyć naprzykład obrazy holenderskie w Ermitażu. Pan Kazimierz wszystko nam ułatwi.

— Pan... Kazimierz?

— No, pułkownik, synowiec pana Eustachego.

— Ach ten... dziękuję—odrzekła Krystyna, rumieniąc się.

— A cóż myślałaś? że pan Kazimierz Rokicki, czy jak on się tam nazywa?

— Pan Rokszycki. To dziwne, że księżna nie pamięta nazwiska.

— Moja droga! Słyszałam już i o Rokitnickich i o Rokicińskich. Mamy nawet jednego ekonomę...

— Rokszyckiego?

— Coś w tym rodzaju.

— Ale pan Kazimierz jest z doskonałej rodziny—rzekła Krystyna twardo i z przekonaniem.

— Brawo, Krysiu! Widzę, że studujesz historię szlachty. Panie Eustachy, czy Rokszyccy szlachta?

— Stara szlachta... prowincjonalna—odrzekł Chmara łaskawie.

— Że prowincjonalna, to sama spostrzegłam. Ach, mogłabym ci, Krysiu, o tym panu coś powiedzieć—śmiała się księżna zbyt jakoś serdecznie.

Chmara, który nie usiadł jeszcze, zawrócił ku drzwiom:

— A! skoro damskie zwierzenia, to mnie już przy tem niema.

— Owszem, proszę zostać, panie Eustachy.

— Nie, nie, księżno, wolę nie wiedzieć. Zresztą mam pocztę do przejrzania. I wyszedł.

Krystyna z wyzywającą ciekawością zapytała:

— Co mi księżna miała powiedzieć o panu Rokszyckim?

— Ach, nic... żartowałam. Nic wogóle bardzo zajmującego o tym panu niema do powiedzenia. On się składa z samych drobiazgów. Tylko, że gada, jak warszawska gazeta, imponuje naszej pocziwej prowincji. Nie panu Eustachemu naprzykład, ale takim Budziszom i innym.

— Wie księżna, że ja takiej gazety dotąd nie czytałam. Ale co mi księżna miała o nim opowiedzieć?

— Mówię ci, że drobiazgi...

— Ale naprzykład?

— No, naprzykład: nosi białe skarpetki. *Pour moi cela classe un homme.*

— Przepraszam, nosi czarne i ma bardzo zgrabną nogę. Zauważyłam to właśnie.

— To byłaś szczęśliwsza ode mnie: trafiłaś na lepszy dzień. Widzę, że, gdy się do ciebie umizga, lepiej się ubiera. Możesz być z tego dumna, Krysiu.



Przed grobem klęczała staruszka.

ALFONS KARPIŃSKI

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI:

Sympatyczna staruszka.

Mieszkałem przez pewien czas w sąsiedztwie niewielkiego cmentarza. Był to jeden z tych cmentarzy nie na miejscu, jeśli tak można powiedzieć, jakie napotyka się czasem po wielkich miastach, przyczajone wśród zgiekliwych i pełnych życia ulic i jakby zapomniane już i przez żywych, i przez umarłych. Ale to opuszczenie właśnie wyciskało na mnie piętno melancholijnego uroku, przypominał mi czemś staropolską siedzibę, pełną wspomnień świetności minionych czasów. Dookoła piętrzyły się olbrzymie kamienice, upstrzone po szczyty dachów złotymi literami ogłoszeń, krzyczały z murów jaskrawe barwy handlowych afiszów, z sąsiednich ulic dolatywał codzienny gwar wielkiego miasta — turkot dorożek, dzwonki tramwajów, piskliwe sygnały automobilów, ale, mimo ten rażący kontrast życia, sam cmentarz dawał zawsze wrażenie spokoju. Zwłaszcza w tych czasach, kiedy go odwiedzałem, a działo się to na jesieni — w pierwszych dniach października. Złote i czerwone liście łagodnie opadały z drzew, ważąc się długo w powietrzu ponad białymi pomnikami grobów, jak jakie wielkie fantastyczne motyle. W ciche słoneczne poranki staroświecki cmentarz nabierał niewypowiedzianego uroku, nawet kamieniarskie anioły z rozpuszczonymi włosami miały się jakoś w oczach pod dotknięciem promieni słonecznych — wszystko osnuwała słodka zaduma snu.

Przychodziłem sam codziennie, najczęściej z książką w ręce, i nieraz, zaczytawszy się, przesiadywałem całe przedpołudnie na kamiennej ławce wśród grobów. Strażnik cmentarny, jakiś stary weteran z drewnianą nogą, znał mnie już z widzenia i zawsze witał zdaleka miłym uśmiechem. Był widocznie ambitny na punkcie swego cmentarza, który zrzadka już odwiedzali ludzie. A mnie nie kierowała bynajmniej chęć poszukiwania nastrojów. Włócząc się między grobami, myślałem o wszystkim innym raczej, niż o zagadnieniach bytu i nicości. A to, że chodziłem codziennie rano

na cmentarz, wynikało z przyczyn bardzo powszednich i prozaicznych; musiałem się gdzieś z domu wynosić, żeby dać czas sprzątnąć pokój, w zaludnionej zaś aż do obrzydzenia i zabłoconej koszarowemi kamienicami dzielnicy cmentarz ten był jedynym miejscem, gdzie rosoło nieco drzew i można było znaleźć nieco swobodniejszej przestrzeni.

Zdaje mi się, że już nikogo na nim nie chowano, a przynajmniej rzadko bardzo, gdyż, pomimo codziennych moich odwiedzin, nigdy nie spotykałem pogrzebów. Odwiedzających również bywało niewiele, wszystko ludzie starsi, przeważnie kobiety, siwe, czarno poubierane staruszki, należąca, jak to na pierwszy rzut oka od razu można było osądzić, do lepszych sfer towarzyskich. Słowem, był to cmentarz arystokratyczny, o czym świadczyło i to, że był zawsze bardzo starannie utrzymany. Jak stary hrabia, który, straciwszy fortunę, dba jeszcze troskliwie o wygląd. Nad zapomnianymi zmarłymi czuwała konwencyonalna pamięć dobrego tonu, strojąc groby w wieńce i kwiaty.

I mimowoli odnosiłem zawsze to wrażenie, że w dniu sądu ostatecznego ci nieboszczyki, którzy tam leżeli, będą się trzymali razem i nieco oddzielnie.

Po pewnym czasie poznałem już ów cmentarzyk tak, jakgdybym był jego dozorcą. Wiedziałem, do których zmarłych przychodzi w odwiedziny, a którzy są zapomniani zupełnie.

Wśród nielicznych odwiedzających zwłaszcza od razu zwróciła moją uwagę pewna staruszka, o niezmiernie sympatycznym i ujmującym wyrazie twarzy. Spotykałem ją codziennie, przychodziła również systematycznie, jak i ja. Tylko, gdy ją czytałem książkę, lub wałęsałem się po alejach, usłanych jakby dywanem zwędzonych liści, ona cały czas spędzała na klęczkach, modląc się przed grobem, który, jak się dowiedziałem z napisu, krył zwłoki młodej dziewczyny. Przyglądałem jej się nieraz zdaleka, i wrzusał mnie jej ból nieukojonny i świeży po tylu, tylu latach. Zachowywała nawet zewnętrzne jego oznaki, gdyż stale chodziła w żałobie, z długim, czarnym welonem, który już zrudział od starości.

Dla tej staruszki uczułem żywą sympatię. Domyśliłem się od razu, że musi to być matka owej umarłej dziewczyny; z zaniedbanego staroświeckiego stroju wnioskowałem, że żyje w niedostatku, i rozrzewniało mnie zawsze, że dzień w dzień składała na swoim grobie wieńce, czy wiązanek kwiatów, a czasem, w ja-

kieś dni, które może budziły w niej żywsze wspomnienia, — całe bukiety kwiatów. I w skutek tego ów grób, sam przez się zwykły i skromniejszy od innych, wyróżniał się jednak na cmentarzu przedziwnym wdziękiem, otaczała go ta bolesna pamięć serca, której wspanialszym, lepiej przystrojonym i utrzymanym brakło.

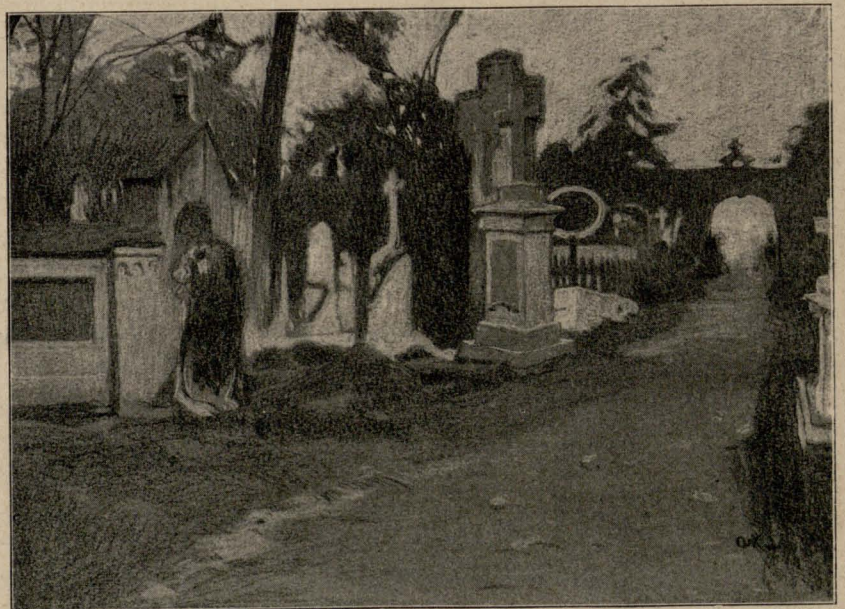
Odtwarzałem sobie w wyobraźni życie tej staruszki, dla której od śmierci córki przez kilkadziesiąt lat odwiedzanie cmentarza i kupowanie na grób kwiatów stało się jedyną treścią beznadziejnie smutnych dni. Tak mi było jasnym, gdym patrzył na nią, że dla prawdziwej miłości symbolów niema: ona, gdy włożyła się z wieńcem na cmentarz, to poprostu szła z kwiatami do córki. I kamienna płyta nagrobka przyjmowała te kwiaty, jak żywe, wdzięczne ręce.

Pewnego dnia, po paru tygodniach cudnej, jesiennej pogody, zaciągnęło się nagle niebo chmurami, i od samego rana deszcz się rozpadał. Oczywiście, musiałem już na czas sprzątania pokoju szukać innego schronienia i poszedłem do kawiarni. I tam przyszło mi nagle na myśl, czem też w taki zimny, dżdżysty dzień, gdy z domu wyjść trudno, żyje moja staruszka? Na cmentarz przecież nie poszła? A może poszła. Korciła mnie ciekawość, owa ciekawość człowieka, który ma dużo wolnego czasu, i, ulegając jej wreszcie, powędrowałem sam.

Oczywiście, nikogo na cmentarzu nie było, nawet strażnik opuścił zwykłe swe miejsce w budce koło bramy, tylko przed owym grobem, nakryta starym parasolem, z którego sterczały druty, na rozłożonej w błocie gazecie klęczała moja staruszka.

Miałem wówczas jeden z owych odruchów, których się ludzie wstydzą, zamiast się wstydzić tego, że im nie ulegli. Chciałem podejść i pocałować ją w rękę.

Tego dnia byłem ostatni raz na cmentarzu. Nazajutrz przeprowadziłem się do innej dzielnicy; tryb życia począł mi się układać inaczej. Była zresztą dżdżysta, ohydna jesień, i nic nie zachęcało do przechadzek. Po paru tygodniach dopiero obudziła się nagle we mnie sentymentalna chęć, żeby dawne strony odwiedzić. Właściwie nie tyle o nie mi chodziło, co o zobaczenie staruszki, ku której ciągnęła mnie jakaś zbyt już może czułościowa sympatia. A ponieważ było sucho i ładnie, poszedłem na cmentarz.



Poszedłem na cmentarz.

ALFONS KARPIŃSKI

Ale staruszki przy grobie nie było, i na grobie nie było kwiatów.

Za to kręcił się poblizu strażnik z drewnianą mogą. Była to rzecz również niezwykła, ponieważ nigdy prawie nie opuszczał swego miejsca koło bramy. Poznał mię i po dawnemu powitał uśmiechem. Zachęcony tem, zbliżyłem się ku niemu.

— A co, i ta staruszka już umarła?—odezwałem się z melancholijnym uśmiechem, wskazując oczami na grób.

Czekałem jakiejś życzliwej odpowiedzi, ale on zmierzwił mię wyraźnie niechętnym spojrzeniem i nic nie odrzekł. Po chwili dopiero mruknął, przyglądając mi się podejrzliwie.

— Pan ją znał?

— Nie—odparłem, zdziwiony tą nagłą jego niechęcią.

— Pan powiada: staruszka. Złodziejka, a nie staruszka—wybuchnął nagle i aż poczerwieniał z gniewu.—Wie pan, co ona robiła?... Kradła z innych grobów wieńce i kwiaty i na ten swój znosiła. Dopiero mię jedni państwo przestrzegali... Tfu—splunął z obrzydzeniem.

I odszedł, gdyż to przypomnienie popsulo mu widocznie humor, i stracił chęć do rozmowy.

☞

TADEUSZ JAROSZYŃSKI:

SUGESTYE.

Czytał w *Trąbie Jerychońskiej*, w dziale „ze sztuki”: „Wizya antyczna słonecznej Grecyi stanęła nagle w pełni czarów przed naszymi zdumionymi oczami. Byliśmy jakby w prawieków pomroce, gdzieś nad modrymi nurtami Kefissusa, u stóp wzniosłego Pentelikonu, gdzie białe marmurowe głazy pod przemożnemi uderzeniami dedalowego młota brały na siebie postaci bogów i bohaterów, gdzie białe marmurowe posągi ożywały cudownie pod tchnieniem artysty i zstępowały ze swoich kamiennych piedestałów, ażeby tańczyć pean tryumfu sztuki.” Uf, kretyn...

„Wizję podobną, nieskończenie mocną i dokładną—czytał dalej—zawdzięczamy uprzejmości młodego, a już wielce obiecującego rzeźbiarza, pana Bożywoja Bajdały (oho!), który swoją pracownię, znajdującą się w miejscowości Trzyprztyk, rozkosznem sielskiem ustroniu, tuż pod murami naszego grodu, zwiedzić pozwolił nam łaskawie” (aha!). Nadspodziewanie silne wzruszenie zaparło

mu oddech w piersiach. Kaczor dotrzymał słowa, machnął mu w *Trąbie* reklamę. *Bon!* Raziło go wprawdzie nadużycie w porównaniach klasycyzmu, którym pogardzał z całą gwałtownością swjej niepospolitej duszy, ale... niepodobna nie ocenić dobrych chęci pocziwego... hm, hm, krytyka...

Odsapnął, usiadł wygodniej na kanapie i, usiłując panować nad sobą, zbierał w treść skaczące niesforne przed oczyma litery.

„Otoczył nas rój tworów przedziwnych. Mistrzowskie dłóto (ehe!) naszego młodego Fidyusza (jest!), posłuszne władnej dłoni, posłuszne nieprawdopodobnie pewnym, śmiałym, niezawodnym uderzeniom młota, przekuwa zimny marmur”...

— Idyota!

Opamiętał się. Darowanemu koniowi w zęby nie zagląda. Dziennikarz niewątpliwie chciał jak najlepiej, nie należy być niewdzięcznym. Ale skąd on to wszystko wytrzasnął, gdzie widział?

Mistrzowskie dłóto! He, he, już chyba nazbyt figuralne powiedzenie! Który tam znowu z naszych „gliniarzy zna się tak bardzo z dłótem i marmurem. Ot—dwóch, trzech... Co do mnie, przynaję otwarcie, że, jak żyję, nie miałem w ręku tej maszyny, i dalibóg, nie było po temu potrzeby. Od tego są kamieniarze, dziurkarze, rzemieślnicy...

Szelma publicysta nie może się obejść bez górnej metafory, więc łże, jak najęty.

— Dłóto i młot! Mistrzowskie dłóto nieodzowny artykuł rzeźbiarza, jak malarza znów obowiązuje subtelny pędzel. Znanie.

— Albo te marmury!

Roześmiał się na gardło.

„...przekuwa zimny marmur na tętniące krwią czerwoną życie”.

Dalibóg, niema w pracowni kawałka kamienia—gips, gips i glina!

„Artysta nasz—głosi dalej artykuł—śmiało o sobie powiedzieć może, jak Puget, że największe bryły marmuru drżą przed nim, jak liście osiczyzny. Istotnie, kiedy się patrzy na te kamienne olbrzymy, pełne ruchu i wyrazu, zda się, że za sprawą jakiejś siły nadprzyrodzonej otrząsnęły ze siebie niepotrzebne warstwy szlachetnego materiału i stanęły w całej doskonałości wewnętrznej piękna kształtów. I tylko widać szczątki marmuru, te odbryzgi zbytecznych uwarstwowień, które obecnie, zdruzgotane, starte potęgą twórczą na pył miałki, zalegają pracownię, ubielają ją i mistrza jakąś mistyczną jasnością”.

Drwi, czy może rzeczywiście jest zamagnetyzowany. Może naprawdę wielka sztuka, która uderza na wyobraźnię, upaja, jak haszysz...

Naprawdę, jest tu u niego biało od gipsu, którego kilka fur spotrzebował do odlania przeznaczonych właśnie na wystawę modeli. Białe jest w pracowni we wszystkich kątach i na podwórzu,

a nawet kawał ścieżki, wiodącej do miasta, znaczą białe plamy gipsu, który goście wynoszą na podszwach obuwia.

Ale jeżeli to jest szczere? Jeżeli fantazyja uniosła Kaczora bezwiednie w kierunku takich mianowicie wizyi... He, he, myślał dalej, gdyby na przyszłość ułatwić grę wyobraźni, spotęgować podobne sugestye, jemu i innym, a zwłaszcza... jej. Jej przedewszystkiem, jeżeli wreszcie zdecyduje się odwiedzić go w pracowni, jeżeli dotrzyma słowa i przyjdzie „mistrza zobaczyć w czynności”.

Ogromną wagę przywiązywał do tej wizyty. Roit oddawna, że właśnie ta kobieta, ta złotowłosa diva, za którą szalało całe miasto, stanie się jego Egeryą, jego natchnieniem, że, upojony bezmierną rozkoszą miłości, cudne jej rysy, przebogate kształty zaklinie w szlachetny marmur... Będzie to podwaliną jego karyery. Oby tylko przyjsć chciała! Artykuł Kaczora powinienby ją zachęcić, podniecić jej ciekawość. Pocziwy Kaczor!

Potrochu poddawał się sugestjom człowieka, którego przed chwilą nazwał idyotą.

— Zawsze co marzenia, to marzenia!—powtarzał sobie i zawołał stróża na naradę...

Biegły dnie gorączkowego oczekiwania. Wszystko było przygotowane do przyjęcia. Artystyczny nieład w pracowni, a na środku jej ogromna kupa prawdziwych, zupełnie autentycznych okruców marmurowych.

Przyszła wreszcie. Przyjechali oboje z Kaczorem powozem, przez niego wynajętym. Piękna Lili jest uroczą, wspaniałą, odurzająco zmysłową, ale jakże mało skłonna do szczerych uniesień estetycznych, do pełnych artystycznych sugestyi. Owszem, zachowuje się raczej, jak pospolita gąska małomieszczańska. W jakimś niesmacznym, drwiącym nastroju przygląda się jego symbolom, dotyka ich trywialnie palcami, chwytą za nosy.

— Fe, gips!—zwraca się z wymówką do Kaczora—po coś pan pisał o marmurach?—Wtem spostrzega kupę gruzu na środku pracowni.

— A to co?

— Marmur—odpowiada z powagą Bajdała—resztki marmuru po pracy, którą wykonałem.

Ona schyla się i podnosi spory odprysk gładko odpolerowanej tafli.

— Cóż to, polerujesz pan płyty do stolików kawiarnianych?

— Ehe—odpowiada stróż, który wniósł właśnie kubeł wody do zwilżenia gliny.—To od kamieniarza z Powązek. *Przywiozem* całą beczkę takiego gruzu!

— Osieł. Dyabli go tu przynieśli!

W każdym razie ta Lili jest duszą płytką, niezdolną do głębszych sugestyi.

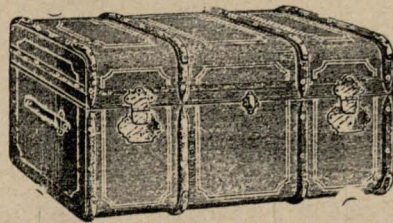
☞

N A D E S Ł A N E.

SKŁAD FABRYCZNY **BRACI THONET** Warszawa, TELEFON 20-29
MEBLI GIĘTYCH Marszałkowska 141

KOMPLETNE URZĄDZENIA APARTAMENTÓW, WILL, TEATRÓW, zakładów gastronomicznych, klubów, etc. Wielki wybór GOTOWYGH SALONÓW, JADALNI, SYPIALNI i t. p. na składzie.

KALODONT
Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.
Żądać wszędzie



Zdzisław Zdanowicz
Kraków, ul. Sławkowska 3.
poleca w wielkim wyborze
Kufry, Neccesery, Plaidy.

W. CYBULSKI i S-ka Telefon 60-29
Warszawa, Nowo-Senatorska 7.
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACH:SKA
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY
GOTOWE i NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

HENRYK MICHAUX
LEKARZ DENTYSTA
Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW
LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7
poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

SAGRADA BARBER
wzmacnia żołądek
i łagodnie przeczyszcza

Dr JAN LATINIK
ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael“.

KSIEGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie
poleca:
WYBÓR POEZJI
ARTURA OPPMANA (OR-OTA)
wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.
Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI“, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

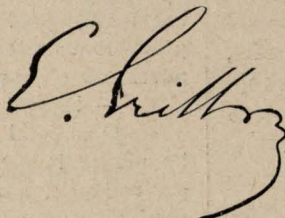
LECZNICA D-ra TARNAWSKIEGO W KOSOWIE

za Kołomyją, w Galicyi, otwarta od 1 maja do końca października. Klimat ciepły górski. Prospekty w księgarni Arcta.

PASTILLES DE **TAMAR INDIEN GRILLON** Owoc przeczyszczający PRZECIWO OBSTRUKCYI

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI
Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

Najlepsza Pasta do Obuwia **„INTRYGANT”** żądać wszędzie
H. Trembińskiego



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23 (vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przesła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

Od Administracji.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

„Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamińskiego

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)
„ „ w ozdobnej oprawie „ 10.— (rb. 4)
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się „ 1.— (kop. 60).

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecany dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy. **Piegi** pryszczę, plamy i liszaje usuwa crem **VENUS** idealnie skuteczny środek.

AGATOL proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnilnych.
Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

Złoty medal 1908
Srebrny medal 1908

Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzeiowych T. & W. Krakowscy

Magazyn—Warszawa,
Aleje Ujazdowskie 16. Tel. 70-10

L. Lipiński (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,) Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

RZYM
Wyjazd pielgrzymki z Warszawy 22 czerwca na 2 i 4 tygodnie. Koszty od 125 rubli. Do podróży dłuższej tylko I i II klasa. Zapisy u **Adama Koziańskiego**, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr 7 miesz 7 od 4 do 6 p.p.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

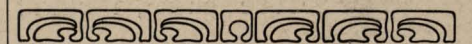
w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

KLAWIOL na odciski plyn lub plaster—świetne!
Apteka Kowalskiego, Graniczna 10 i wszędzie

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ powrócił.
Choroby dróg moczowych. Oświetlenie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5—7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37.



ODPOWIEDZI.

P. L. Orł. 1) Adres p. Kazimierza Glińskiego: Krucza 17. 2) Wsie osobne Jeziora są tylko w W. Ks. Poznańskim. W ziemi Czerskiej, a dziś w pow. grójeckim, istnieje folwark Jeziora, należący do dóbr Mała Wieś, należących do Maryi ks. Lubomirskiej. We wsi Mała Wieś jest rezydencja. Kościoła niema. Parafia w Belsku. 3) Tom V „Stulecia myśli polskiej” wyjdzie niebawem, zapewne w czerwcu.

P. K. Pfeiffrowi w Szczucinie. Sarasate umarł w roku ubiegłym, dn. 30 września; czy występował w Tarnowie — możnaby się chyba tylko na miejscu dowiedzieć. Sławę wszechświatową skrzypka odziedziczył po nim Kubelik.

P. R. B. Nie wydrukujemy.
P. Juliuszowi Warneckiemu w Piotrkowie. Od kandydatów na kurs wstępny do Seminarium nauczycielskiego w Ursynowie wymagane są wiadomości w zakresie mniej więcej dwóch klas szkoły średniej; opłata za naukę, mieszkanie i utrzymanie wynosi 150 rb. rocznie. Kandydaci winni złożyć: podanie z wyszczególnieniem kwalifikacji naukowych, dotychczasowych zajęć, oraz stosunków rodzinnych. Bliższych informacji udzieli na żądanie listownie Zarząd Seminarium: poczta Warszawa, skrzynka pocztowa Nr. 377.

P. Janowi Stef. Styl i wiersz nie wyrobiony. Nie dla nas.